

Abigail Gordon

Spadkobiercy

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Isabel West wstąpiła do herbaciarni Riverside przy głównej ulicy miasteczka w dwóch celach: sprawdzić, jak czuje się jedna z właścicielek oraz wypić wyborną herbatę i zjeść maślane ciasteczko z porzeczkowym nadzieniem, z których herbaciarnia ta słynęła.

Od wczesnego ranka jeździła po farmach i siedliskach rozproszonych na odludnych terenach pośród wzgórz, odwiedzając w domach chorych, którzy nie byli w stanie odbyć dalekiej podróży do gabinetu lekarskiego. Był środek lata, z bezchmurnego nieba lał się żar.

Gospodarze prowadzili ją do wielkich jak stodoły kuchni o niskich sufitych i proponowali coś dla ochłody, lecz ostatnio nie miała na to czasu. Pracowała za dwóch, odkąd w gabinecie ubył jeden lekarz, a jej ojciec nie kwapił się do znalezienia kogoś na zastępstwo.

Ścisłej biorąc, odeszła od nich doktor Millie Ma-plin. Szanowano ją w miasteczku na równi z ojcem Isabel i tak już pozostało, choć przestała praktykować. Przez lata prowadziła gabinet z Paulem Western, niedawno zaś kupiła nowiutkie mieszkanie nad brzegiem rzeki Goyt i cieszyła się urokami emerytury. Isabel, świeżo upieczona pani doktor, odkryła nagle, iż doba ma za mało godzin.

Ilekróć pytała ojca, kiedy zatrudni kogoś na miejsce Millie, mruzczał tylko coś pod nosem, zamyślony. Milczał nawet wtedy, gdy mówiła nieśmiało, że przy całej swojej miłości do pracy nie miałyby nic przeciwko odrobinie wolnego czasu na życie towarzyskie.

- Cierpliwości, Isabel - rzekł któregoś dnia. -Wiem, że świetnie sobie radzisz. Jesteś mądra, pomysłowa i pełna ciepła. Twoi pacjenci mają szczęście, że mogą się u ciebie leczyć. Nie proszę cię o nic, czemu byś nie podołała. Do poważniejszych przypadków będę jeździł sam. Kontrolujemy sytuację, nie martw się. Wszystko się ułoży.

Minął kolejny tydzień, lecz nic się nie zmieniło, pomyślała Isabel, otwierając drzwi. Dzwoneczek wiszący nad nimi zadźwięczał srebrzyście.

Właścicielkami nieskazitelnie czystego lokaliku popularnego wśród amatorów pieszych wycieczek były siostry Templeton: wdowa Sally oraz niezamężna Sophie. Isabel przyjechała dziś z wizytą do starszej z sióstr.

Sally miała akurat rzut reumatoidalnego zapalenia stawów, tak więc Sophie pracowała tego dnia sama. Stała za barem i na widok Isabel oznajmiła teatralnym szeptem:

- Wrócił!

- Słucham? - zdziwiła się Isabel, gdy Sophie wskazała palcem sufit, nad którym znajdowało się pomieszczenie mieszkalne.

- Wrócił! - powtórzyła Sophie, palcem wciąż wskazując pokój na górze, a potem przewróciła oczami i fuknęła: - No przecież, że Ross!

- Ross?! - Isabel aż się zakrztusiła. - Kiedy?
- Dziś rano.

Sophie opadła ciężko na najbliższe krzesło, Isabel zaś znieruchomiała wpatrzona w sufit.

- Nie wierzę. Po tylu latach? Po co?

Starsza pani tylko wzruszyła ramionami. Chyba cieszy się z powrotu siostrzeńca, rozmyślała Isabel. Z drugiej strony Ross jest synem Sally, jej oczkiem w głowie.

- Po prostu wziął i przyjechał - wyszeptła Sophie. - Twój ojciec do niego napisał, że nasza Sal niedomaga. I dobrze, bo sama na pewno nie chciałaby go martwić.

Wrócił, ale oczywiście nie do mnie, pomyślała Isabel bez zdziwienia.

Usłyszała szcęknięcie drzwi na piętrze, potem odgłos kroków. Powoli skierowała wzrok w stronę schodów i usłyszała głos, który kiedyś tak dobrze знаła:

- Izzy? Izzy West?

- Doktor Isabel West - odparła oficjalnym tonem, siłą się na spokój. - Jak się miewasz, Ross?

Zaczerwieniła się po same uszy. Zapewne Ross wciąż pamięta ich ostatnie spotkanie, gdy wyplakiwała sobie oczy, błagając, by ją z sobą zabrał. Gdy szlochając, powtarzała, że nigdy, cokolwiek się zdarzy, nie przestanie go kochać. Musiała być żalosna z tym swoim naiwnym zauroczeniem, pomyślała i zaczerwieniła się jeszcze bardziej. Nic dziwnego, że Ross wiał, aż się kurzyło.

- Nie narzekam - odparł swobodnie. - A co u ciebie?

Isabel zdążyła nieco ochłonąć. Już nie jesteś sentymentalnym podlotkiem, a dorosłą kobietą, pomyślała. Kobieta, która mogłaby codziennie chodzić na randki, gdyby nie brak czasu. Może przy „miastowym” Rossie tutejsi mężczyźni mogą się wydawać co najwyżej przeciętni, ale tym lepiej. Przynajmniej nie musi się obawiać, że straci dla kogoś głowę.

Minęło siedem lat, odkąd doktor Ross Templeton wyjechał z miasteczka, łamiąc serce pewnej osiemnastoletniej dziewczynie. Latami włóczył się po świecie, a teraz wraca jak gdyby nigdy nic i epatuje swoją piękną opalenizną i wysportowanym ciałem.

- Fantastycznie - odparła wesolutko. - Robię coś, o czym zawsze marzyłam. Skończyłam medycynę i pracuję u ojca. Jest cudownie, choć ostatnio pracy mamy tyle, że nie wiadomo, w co ręce włożyć.

- Odkąd Millie Maplin przeszła na emeryturę?

- No proszę. Dopiero przyjechałeś, a już jesteś na bieżąco.

- Czasem coś się człowiekowi obje o uszy.

- A czasem ktoś coś mu powie. Ciekawe kto?

- Och, różnie. Raz moja matka, raz twój ojciec. Napisał, że jest chora, więc przyjechałem.

- I jak ją oceniasz?

- Martwię się. Bardzo cierpi i jest praktycznie unieruchomiona. Słyszałem, że są dni, kiedy herbaciarnia dosłownie pęka w szwach. Uważam, że ciocia Sophie powinna mieć kogoś do pomocy. Dziwię się, że wcześniej o tym nie pomyślały.

Lokal stopniowo się zapełniał. Sophie dwoiła się

i troiła, aby obsłużyć wszystkich gości, więc nie słyszała tej rozmowy - na szczęście dla Rossa. Oberwałoby mu się za robienie z niej niedołącznej staruszki.

Siostry zaczynały praktycznie od zera. Teraz po ich domowej roboty ciasta i świeżutkie sandwicze wręcz ustawiały się kolejki, a herbaciarnia znana była wszystkim mieszkańcom doliny rzeki Goyt.

- Pomyślały, ale są wybredne - odparła Isabel ściszym głosem. - Ciągłe kogoś zatrudniają, ale jakoś nikt nie zagrzeł tu miejsca.

- Matka i ciotka, jak widzę, wcale się nie zmieniły - odparł ze śmiechem - ale ty, Izzy... Ty się zmieniłaś. Bardzo.

- A czego się spodziewałeś? - odrzekła chłodno.

- Że czas stanął w miejscu i wciąż mam osiemnaście lat?

- Niczego się nie spodziewałem - mruknął.
-Przyjechałaś do mojej matki?

- Tak - odparła, natychmiast odzyskując humor.

- Jak z pewnością wiesz, jest pacjentką ojca, ale wpadam do niej ze dwa razy w tygodniu. Sally lubi sobie poplotkować, a Sophie poi mnie herbatą i przekarmia ciastkami.

- Wciąż mieszkasz u ojca, czy już się trochę usamodzielniałaś? - spytał po chwili.

Jak gdyby wciąż była histeryczną nastolatką mieszkającą u tatusia!

- Mieszkam w domku nad rzeką.

- Sama?

- Owszem, sama.

- Nie czujesz się samotna?

- A skąd! Zapominasz, że jestem dziewczyną ze

wsi. Mam do towarzystwa labradorkę Tess i kotkę przybłądę o imieniu Kicia Kocia.

- Uhm. Bardzo oryginalne - zaśmiał się.

Ona także się roześmiała, wspominając długie, upalnie letnie dni, zanim wyjechała na studia, a Ross był jeszcze współnikiem ojca. Lubił się z nią przekomarzać i potrafił ją rozbawić. Taki wysoki, szczupły i ciemnowłosy, o roziskrzonych piwnych oczach. Okoliczne chłopaki nie dorastały mu do pięt. Isabel była w nim zakochana po uszy.

Nie udało się im, gdyż udać się nie mogło. Dla Rossa była dzieckiem, podkochującą się w nim smarkułą, toteż zachowywał się, jakby niczego nie zauważał. Dla Paula Westa była córką, która od najmłodszych lat marzyła o medycynie, lecz mogła zaprzepaścić swoje szanse z powodu burzy hormonów.

Nie zamierzał na to pozwolić. Najwyraźniej Ross był tego samego zdania, bowiem z dnia na dzień złożył wypowiedzenie i oznajmił, że zamierza zwiedzić świat, Paul West zaś przyjął jego rezygnację z nieprzyzwoitym wręcz entuzjazmem.

Izzy błagała Rossa, by ją zabrał. Myślała, że umrze z rozpaczy, gdy odmówił, gdy tłumaczył, że powinna myśleć o studiach i jak najszybciej o nim zapomnieć. A potem wyszedł, ją pozostawiając ze złamanym sercem, a jej ojca z uczuciem ponurej satysfakcji.

- Przez te pogaduszki zaniedbuję pacjentkę - stwierdziła z powściągliwym uśmiechem. - Twoja matka wie, że tu jestem i na pewno zachodzi w głowę, co mnie zatrzymało. Na razie, Ross.

Nie dając mu czasu na odpowiedź, odwróciła się i ruszyła na piętro. Gdy pokonała ostatni stopień,

obejrzała się, chcąc rzucić jeszcze jedno spojrzenie na mężczyznę, który tak wiele niegdyś dla niej znaczył.

I osłupiała: Ross włożył czysty biały fartuch i stanął za ladą. Sophie wpatrywała się w niego okrągłymi oczami.

- Czyli już widziałaś się z Rossem - odezwała się Sally, zaledwie Isabel stanęła w progu małego zagraconego pokoiku, z którego ostatnio chora praktycznie się nie ruszała.

- Tak. Co za niespodzianka - odparła gładko Isabel. - Spodziewałaś się go?

Siedząca w fotelu starsza pani pokręciła głową.

- Nie. To sprawa twojego ojca. Napisał mu, że starość mnie dopadła. Ross wsiadł w pierwszy samolot i przyleciał do domu.

- Pewnie jesteś przeszcześliwa - stwierdziła Isabel.

Czuła się skrepowana. Przecież Sally może winić ją i jej ojca za to, że syn musiał szukać szczęścia w szerokim świecie.

- Oczywiście, że tak - odparła starsza pani. - Ale nie życzę sobie, żeby pędził tu na złamanie karku tylko z mojego powodu! Jeszcze mi się nie śpieszy w zaświaty.

Gdyby wrócił do mnie, chyba rozplakałabym się z radości, pomyślała Isabel. Może mimo wszystko Ross Templeton nie jest jej całkiem obojętny.

- Teraz stoi za ladą i obsługuje klientów - powiedziała tylko.

- Niemożliwe! A to się moja siostra musiała zdziwić. Ross pracujący w naszej herbaciarni...

- Na długo przyjechał, Sally?

- Mówił, że na stałe. Chociaż nie ma mam pojęcia, co mógłby robić w takiej dziurze.

- Na stałe?! - zapytała wstrząśnięta Isabel.

- Zarzekał się, że tak.

- Pewnie zamierza dojeżdżać do któregoś z tych dużych szpitali w Cheshire, a może i w samym Manchesterze - zastanawiała się głośno Isabel.

- No dobrze, ale gdzie będzie mieszkał? W tej klitce we dwie z Sophie ledwie się mieścimy.

- Może dostanie służbowe mieszkanie.

- Pewnie masz rację - odparła Sally - ale on mówi, że chce być blisko mnie.

Isabel przełknęła ślinę. Nie żałowała, że nie starczy jej czasu na herbatę i ciasteczka, bowiem ze zdenerwowania straciła apetyt. Jeśli Ross zostanie w tym małym, bądź co bądź, miasteczku, to będą na siebie wpadali niemalże każdego dnia. Ta myśl budziła w niej mieszane uczucia: niepokój, onieśmielenie, lecz przede wszystkim radość.

- Muszę zmykać - oznajmiła. - Wiem, że wczoraj był u ciebie mój tata. Na pewno chcesz pobyć z synem... i... Sally, nie bądź taka twarda. Skoro Ross chce się tobą opiekować, pozwól mu na to.

Chora uśmiechnęła się ciepło.

- Zobaczyłam go i od razu poczułam się lepiej. Isabel pożegnała się i zeszła do herbaciarni.

- Pa, Ross. Miło cię było znowu zobaczyć - mruknęła, lecz nie wypadło to zbyt przekonująco.

Ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy i Isabel straciła humor: zaczynała przeczuwać, jak odtąd będzie wyglądało jej życie. „Zgroza” przez duże „Z”.

Oby Ross znalazł pracę jak najdalej stąd, pomyś

łała. Zresztą im bliżej dużych miast, tym łatwiej o mieszkanie. Jest tyle domów gościnnych, pensjonatów, znajdzie się nawet kilka hoteli. A ona ze swojej strony będzie starała się go unikać i tyle.

Po powrocie do gabinetu pomaszzerowała prosto do pokoju, w którym ojciec odpoczywał przed popołudniowym dyżurem. Nie zawsze tak było. Jeszcze kilka miesięcy temu tryskał energią, lecz odkąd Mil-lie przeszła na emeryturę, zamiast jak zwykle rzucić się w wir pracy, wyraźnie zwolnił tempo.

Paul West spojrział na córkę i od razu domyślił się, co zaraz usłyszy, lecz się nie odezwał. Czekał.

- Wiedziałeś, że Ross wraca? - spytała bez zbędnych wstępów. - Kontaktowałeś się z nim?

- Owszem, wiedziałem, że wraca. I owszem, napisałem do niego list. Mam rozumieć, że już się widzieliście?

- Akurat był u Sally. Mogłeś mnie uprzedzić.

- Po co? Przecież i tak nie uniknęłabyś tego spotkania. Chciałem, żeby wypadło naturalnie.

- Naturalnie?! - krzyknęła. - Pojawia się jak grom z jasnego nieba i ma być naturalnie? Myślałabym raczej, że jesteś ostatnią osobą, której jego powrót byłby na rękę, zwłaszcza po zamieszaniu, jakiego kiedyś narobiłeś.

- Może żałuję i chcę ci to wynagrodzić.

- Nie trzeba. Dla mnie to zamierzchłe dzieje.

- To dobrze, zwłaszcza że Ross zaraz tu będzie.

- W takim razie pozwól, że cię pożegnam. Muszę wypełnić karty pacjentów.

- Nie, nie idź - powiedział pośpiesznie. - Musisz tu być, kiedy on przyjdzie.

- Nie muszę - odparła z rozdrażnieniem. - Co więcej mogliśmy mieć sobie do powiedzenia? Grzecznościowe: „Cześć, co słyhać?” mamy już za sobą.

W tym samym momencie usłyszała głos Rossa. Rzuciła się ku drzwiom, lecz nie dość szybko. Rozległo się stukanie, potem drzwi otworzyły się i oto Ross stał już w progu.

- No i co ty na to, Izzy? - zagadnął, spoglądając to na nią, to na jej ojca.

- Jeszcze nic nie wie - mruknął Paul, podnosząc się z fotela.

- Wracasz do gabinetu, tak? - spytała ledwie słyszalnie, wlepiwszy w Rossa oburzone spojrzenie roziskrzonych fiołkowych oczu. - Zajmiesz miejsce Millie. - Zwróciła się twarzą ku ojcu. - Dlatego nie szukałeś zastępstwa! Spiskowaliście za moimi plecami!

Paul West chrząknął.

- Mieliśmy swoje powody.

- Jasne, jasne. Nie daj Boże znowu wpadłabym w histerię... albo oplotła się wokół jego nóg jak powój. Ale ja już nie mam osiemnastu lat.

- Izzy, pozwól ojcu dokończyć. Może wtedy zrozumiesz - odezwał się cicho Ross.

- Przechodzę na emeryturę, Isabel - rzekł spokojnie Paul. - Nosilem się z tym zamiarem od odejścia Millie. Jestem zmęczony i zazdroszczę jej spokoju, jaki znalazła w tym pięknym nowym mieszkanku nad rzeką. Ale nie mogłem się wycofać, dopóki moja praktyka nie znajdzie się w pewnych rękach. Odtąd Ross jest tu szefem, a ty masz go wspierać. To najlepszy lekarz, z jakim kiedykolwiek pracowałem. Mam

nadzieje, że kiedyś będziesz taka dobra jak on. Zrozum, ten gabinet to dzieło mojego życia.

- Rozumiem - odparła powoli. - Oczywiście

o emeryturze też nie raczyłeś mi wspomnieć.

- Czekałem na odpowiedni moment. I właśnie nadszedł.

Ross tu jest.

Nie wyobrażała sobie lepszego szefa niż ojciec. I w każdym innych okolicznościach zmartwiłaby się, słysząc, że zamierza przestać praktykować, jednak sposób, w jaki się o tym dowiedziała, był przykry i upokarzający. Za kogo oni ją uważają? Za dziecko?

Zwróciła na Rossa pełne gniewu oczy.

- Mogłeś mi o tym wspomnieć w herbaciarni. Jeśli chcecie, żebym zachowywała się jak człowiek dorosły, to czemu obaj traktujecie mnie jak smarkulę? Rozmawialiśmy, a ty nie raczyłeś wspomnieć, że będziesz moim szefem! Wielkie dzięki!

- Nie wiedziałem, ile ojciec ci powiedział.

- No to już wiesz. Nic!

Jak burza wypadła na korytarz. Zatrzymała się dopiero w niewielkim ogródku i wściekła i rozżalona patrzyła na małownicze wzgórze. Najchętniej pojechałaby do lasu, aby w samotności przeżywać swoje rozgoryczenie, lecz nawet i tego nie mogła zrobić. Za dziesięć minut pojawi się pierwszy z pacjentów umówionych na popołudnie, co oznaczało, iż musi wrócić do gabinetu.

Usłyszała kroki, odwróciła się gwałtownie i zobaczyła Rossa, który przyglądał się jej z posepną miną.

- Przepraszam. Miało być zupełnie inaczej, ale twój ojciec... - zaczął, ale Isabel mu przerwała.

- Znam go aż za dobrze. Nie jest zbyt wylewny,

ale myślałam, że tylko wobec obcych. Okazuje się, że się myliłam - odparła chłodno, stopniowo podnosząc głos. - Oczywiście jestem zadowolona, że ojciec przyjął kogoś na miejsce Millie, bo już zaczynało mi brakować sił, ale trudno mi zaakceptować fakt, że wybrał akurat ciebie. Wolałabym kogokolwiek, byle nie ciebie. Czuję się, jak gdyby nagle czas się cofnął.

- Mogę się zachowywać tak, jakbyśmy się w ogóle nie znali - odparł spokojnie. - Zresztą to było tak dawno temu. Może zawrzemy rozejm? Zaraz będę szedł, chcę pomóc Sophie posprzątać po pierwszej fali gości. No i muszę zacząć się rozglądać za jakimś mieszkaniem.

- Od mojej wyprowadzki ojciec ma aż nadto wolnego miejsca. Ściągnął cię tutaj, to może niech cię teraz przyjmie pod swój dach.

- To nie najlepszy pomysł. Twój ojciec ma teraz dość kłopotów na głowie. Zatrzymam się w jakimś hotelu. „Bażant” jeszcze działa?

- Tak. Niewiele się zmieniło od twojego wyjazdu.

- Oprócz ciebie.

- To zrozumiałe. Spodziewałaś się nastolatki? Myślałaś, że czas stanął w miejscu?

- Dla mnie tak - odrzekł dziwnym tonem. Milczała, zwróciwszy ku niemu zamyślane oczy.

- Idę, Izzy - powiedział w końcu. - Musisz ochłonąć. Pomówimy o tym kiedy indziej.

Odprowadziła go wzrokiem. Jasne, że musi ochłonąć. Jej życie właśnie wywróciło się do góry nogami. Ross je wywrócił! Stało się to, o czym marzyła przez tyle bezsennych, przepłakanych nocy. O ironio, dopiero wówczas, gdy to już przestało mieć dla niej

znaczenie. Mniejsza o to, że Ross jest jeszcze przystojniejszy niż przed laty, a jej serce" wciąż zamiera na sam jego widok.

Niestety, ona w tym czasie nie wypiękniała. Może jej włosy wciąż mają złocisty odcień, oczy niezwykłą fioletową barwę, lecz twarz, którą widziała w lustrze, nie przyprawiała mężczyzn o szybsze bicie serca, zaś figura skryta pod lekarskim fartuchem jest raczej dziewczęca niż kobieca.

- Przykro mi, że cię zdenerwowałem - powiedział ojciec, zanim poszli do pacjentów. - Bardzo mi zależało na tym, żeby ściągnąć tu Rossa, ale wolałem

o niczym ci nie wspominać, dopóki nie będę pewny, że mi się uda. Teraz mogę spokojnie przejść na emeryturę. Sally odzyskała syna, tobie będzie łatwiej. Formalności już pozałatwiałem.

- Wszystko pięknie, tylko czy chociaż raz pomyślałeś o tym, jak ja będę się z tym czuła? Słabo mi się robi, kiedy sobie przypominam, co wyrabiałam, kiedy powiedział, że wyjeżdża.

I nie miał mnie kto pocieszyć. Potrzebowałam matki, ale już jej nie miałam. Tobie zależało tylko na tym, żebyś poszła na studia, a Ross chciał znaleźć się jak najdalej ode mnie, pomyślała.

Ojciec chrząknął niepewnie.

- Minęło tyle czasu. Może powinienem był postąpić inaczej, ale stało się. Teraz zaczynamy od nowa i mam nadzieję, że okażesz się rozsądna.

- Mam inne wyjście?

- Nie będziesz tego żałowała, zobaczysz - odparł

I zanim zdążyła się odezwać, poprosił pacjenta do gabinetu i zamknął drzwi.

- Podobno Ross Templeton przyjechał w odwiedziny do matki - oznajmiła pierwsza pacjentka Isa-bel, przysuwając sobie krzesło.

Jess Hudson prowadziła pocztę oraz wielobranżowy sklep i zawsze dowiadywała się o wszystkim najszybciej. Cóż, nie tym razem, pomyślała melancholijnie Isabel. Jess nie wie najważniejszego: że Ross zajmie miejsce Paula Westa, który przechodzi na emeryturę.

- Tak - odparła spokojnie. - Co ci dolega, Jess?

- Od paru dni mam twarz opuchniętą z jednej strony - pozałiła się Jess. - A niedawno zaczęła mi puchnąć szyja.

- Hm, widzę. Boli?

- Właściwie to nie. Ale dziwnie się z tym czuję. Isabel obmacała jej szyję i stwierdziła, że Jess ma powiększone węzły chłonne.

- Podejrzewam, że masz zatkany przewód ślinianki. Przepiszę ci antybiotyk i zobaczymy, czy pomoże. Jeśli nie, skieruję cię na prześwietlenie.

Jess skinęła głową.

- Też tak podejrzewałam. Oby tylko nie świnka. Chociaż w tym wieku nie muszę się już martwić, że nie zajdę w ciążę. Mam pięćdziesiąt lat.

- I tak nic by ci nie groziło. Nie jesteś mężczyzną - odparła Isabel.

- Wiem. Żartowałam - zaśmiała się Jess. Kiedy wychodziła, zatrzymała się w drzwiach.

- Słyszałam, że Sophie urządza przyjęcie powitalne dla Rossa i wszyscy są zaproszeni. Rozumiem, że idziesz.

- Raczej nie - mruknęła Isabel. - Odkąd odeszła Millie, nie mam czasu na życie towarzyskie.

W tej samej chwili uświadomiła sobie, jak ludzie mogliby odebrać jej nieobecność. Ross najpewniej pomyślałby, że ona go unika - i miałby rację. A wszystko przez ojca.

Nigdy nie byli sobie specjalnie bliscy. Dopóki żyła jego żona, Paul West był zupełnie innym człowiekiem. Gillian była ciepłą i pełną temperamentu kobietą, uwielbianą przez męża i córeczkę, i gdy zmarła na udar mózgu, Paul stał się apatyczny, zaś zagubiona mała dziewczynka pozostała głównie pod opieką gosposi. Dopiero gdy jako nastolatka oznajmiła, że chce zostać lekarką, ojciec dostrzegł jej istnienie i ich relacje zaczęły się zmieniać.

Podobała mu się wizja rodzinnego gabinetu, pracy z córką, i zaczął się interesować jej planami na przyszłość. Gdy Isabel zakochała się w Rossie, a wizja rodzinnej praktyki zaczęła odpływać w siną dal, Paul postanowił działać. I cel osiągnął.

Po pracy Isabel chciała pomówić z ojcem, lecz w gabinecie już go nie było. Jego samochód zniknął z podjazdu; pewnie udał się do Millie, gdzie czeka na niego kieliszeczek sherry i ciepła kolacja.

Nie pojmowała, dlaczego ci dwoje jeszcze się nie pobrali. Może uznali, że wystarczy jeden nieudany romans w rodzinie, pomyślała i ze wstydu zapiekły ją policzki. Pora do domu, gdzie czekają na nią jej kochane zwierzaki, rozbrykana Tess oraz smukła i wytworna Kicia Kocia.

ROZDZIAŁ DRUGI

Isabel wzięła leżak i przeniosła się z kolacją do ogrodu. Wybrała ten mały skromny domek właśnie ze względu na bliskość rzeki.

Uwielbiała rzekę i wszystkie stworzenia, które żyły w jej wodach albo w ich pobliżu. Z zachwytem patrzyła na stojącą w sitowiu długonogą czaplę o jas-krawożółtym dziobie, który zniknął w wodzie, aby po chwili wyłonić się z kolejną szamocącą się rybą. Oprócz czapli czasami widywała tu także zimorodki o barwnie upierzonych piersiach. Czułaby się w pełni szczęśliwa, za całe towarzystwo mając Tess, która leżała obok, oraz Kicię Kocię pracowicie wylizującą sobie łapki, gdyby nie powrót Rossa.

Może niepotrzebnie się tym przejmuję, pomyślała i zamknawszy oczy, uniosła twarz ku słońcu, które pomimo dość późnej pory wciąż przyjemnie grzało. On z pewnością o niej nie pomyślał, odkąd spakował bagaże i wyniósł się z miasteczka. Nie to co ona. Całymi dniami snuła się jak cień, płakała po nocach.

Dopiero pod koniec pierwszego roku studiów pogodziła się z myślą, że to koniec. Zaczęły się flirty, które zawsze jednak szybko się urywały, bowiem nie poznała nikogo, kto zdołałby mu dorównać. I pomimo pierwszych delikatnych zmarszczek wciąż jest

piekielnie przystojny, pomyślała, choć może trochę inny niż kiedyś, spokojniejszy, bardziej stonowany.

Po jej twarzy nagle przemknął cień. Otworzyła oczy i aż wstrzymała oddech: za wiklinową furtką stał...

- Ross!

Usiadła raptownie i zaczerwieniła się.

- Mogę wejść? - spytał niepewnie.

- Tak, oczywiście.

- Wpadłem ci powiedzieć, że na kilka dni zatrzymam się w „Bazancie”. Matka nie jest tym zachwycona, wolałaby, żebym pomieszkał u niej, ale w końcu dała sobie wytłumaczyć, że spanie na ładzie z czołem opartym o ekspres do kawy nie jest ani higieniczne, ani wygodne.

Uśmiechnęli się równocześnie, a Isabel pomyślała, że dawna fascynacja mimo wszystko całkiem nie wygasła. Oczywiście ani jej się śniło proponować mu inne rozwiązanie niż hotel, mimo że sama miała wolny pokój. Nie, po co kusić los? Zresztą Ross i tak z pewnością by odmówił.

- „Bazant” to jeden z najlepszych hoteli w okolicy. Będzie ci tam wygodnie - powiedziała.

- Uhm. Jestem o tym przekonany - odparł. -Przypuszczam, że twój ojciec też niebawem zacznie się rozglądać za nowym lokum. Może wtedy zająłbym mieszkanie nad gabinetem.

- No tak - odparła z bladym uśmiechem. Chciała, żeby sobie poszedł, najwyraźniej jednak

Ross nigdzie się nie śpieszył.

- Zapomniałem, jak tu pięknie - odezwał się po chwili.

- Na pewno widziałeś wiele znacznie piękniejszych miejsc.

Pokręcił głową. Nie patrzył już na rzekę, lecz na nią.

- Dla mnie urok tych stron to nie tylko rzeka i drzewa. To ludzie, którzy tu mieszkają. Zawsze myślałem o tym miasteczku, bo tutaj zostawiłem wszystkich, którzy są mi bliscy.

- Naturalnie - przyznała z pośpiechem. - Twoja matka musi być teraz bardzo szczęśliwa.

Zapadła niezręczna cisza.

- Lepiej już się pożegnam. Obiecałem Sophie, że pomogę jej w kuchni.

- Jak to? - spytała zaskoczona.

- Będziemy piec maślane ciasteczka z nadzieniem porzeczkowym. Ale tylko dziś, bo od jutra jestem w gabinecie.

- Już od jutra? - jęknęła.

- Posłuchaj, Izzy - rzekł spokojnie. - Wiem, że nie cieszy cię mój powrót, ale obawiam się, że nic na to nie poradzę. Dopóki mam tutaj chorą matkę i odpowiadam za ten gabinet, będziesz musiała mnie tolerować. Chcesz, żebym się zachowywał, jak gdybyśmy się nie znali? Proszę bardzo, ale poza pracą. W pracy musimy iść na jakiś sensowny kompromis.

- Nie wierzę własnym uszom - odparła gniewnie. - Znikasz na całe lata, nie dzwonicz, nie przyjeżdżasz, a teraz wracasz i pouczasz mnie, co mam robić? To ty błąkałeś się po świecie.

- Błąkałem? - powtórzył.

Spojrzał na Tess, która obwąchiwała go nieufnie, potem na Kicię Kocię spokojnie kończącą toaletę.

- Tym dla ciebie jestem? Przybędą jak ona? Otóż dowiedz się, że wracałem tu nie raz i nie dwa.

- Kiedy? - spytała zdumiona.

- Kiedy tylko miałem okazję. Do matki i ciotki.

- Bez wątpienia w czasie, kiedy ja akurat byłam poza domem.

- Być może. Nie chciałem cię denerwować.

- Za późno. Zdenerwowałeś mnie i... Szkoda słów.

- Wiem. Nie chciałem pogarszać sytuacji.

- Niepotrzebnie się martwiłeś. Kiedy wyjeżdżałeś, byłam bardzo młoda, zagubiona, tęskniłam za matką i miałam kostycznego ojca, który traktował mnie jak powietrze. Dzięki tobie znowu zaczęłam się śmiać. Przestałam się czuć jak brzydkie kaczątko. Ale było, minęło. Szybko się z ciebie wyleczyłam. Mogłeś śmiało przyjeżdżać.

Ross przyglądał się jej w zamyśleniu.

- Żałuję, że o tym nie wiedziałem - odparł z miną, której nie umiała rozszyfrować. - Może wróciłbym wcześniej.

- Chcesz powiedzieć, że czekałeś tyle lat tylko ze względu na mnie?

- Nie. Tu chodzi o mnie.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - odparła skrepowana - i chyba wolę nie wiedzieć. Zdaje się, że miałaś pomóc Sophie? Nie wypada kazać jej czekać.

Uśmiechał się.

- Dobrze. Zrozumiałem aluzję: masz mnie dość. Ale od jutra jestem w gabinecie i wiele się zmienia.

- Nowe porządki?

- Zgadłaś - odparł z uśmiechem.

- W takim razie muszę uważać, żebyś nie wymiół mnie z gabinetu razem z innymi pozostałościami po długim panowaniu ojca.

- Bez obaw. Mieszkańcy miasteczka zakuliby mnie w dyby, gdybym znowu cię zdenerwował.

Pomachał jej na pożegnanie i zniknął.

Isabel położyła się na leżaku i westchnęła ciężko.

Może nie będzie tak źle, pocieszała się w duchu. Może dzięki młodszemu, bardziej operatywnemu szefowi będzie miała więcej wolnego czasu. Tylko z kim miałaby go spędzać? W każdym razie nie z Rossem. Nie pozwoli zranić się po raz drugi.

Popatrzyła na Kicię Kocię, która wpatrywała się w nią lśnącymi ślepiami, na zazdrośnicę Tess, która natychmiast podbiegła do swojej pani i lodowatym, mokrym nosem dźgnęła ją w łydkę, i westchnęła ciężko. Czemu relacje między ludźmi są takie skomplikowane?

Oprócz matki tylko Ross nazywał ją „Izzy”. Ojciec zawsze krzywił się, gdy słyszał to zdrobnienie, jednak Ross wcale się tym nie przejmował. Dziwnie było po latach znowu usłyszeć je z jego ust.

- Chodź, Izzy-Izzy - śmiał się. - Mam dla ciebie prezent.

Rozchyłał zaciśnięte palce, a ona brała z jego dłoni cukierek albo kwiat. Raz był to cieniutki srebrny łańcuszek z ametystem. Kiedy zapiął jej go na szyi, poczuła się piękna.

Wiedziała, że ojciec nie pochwała jej przyjaźni z Rossem, ale miała osiemnaście lat i kochała po raz pierwszy w życiu, więc udawała, że nie zauważa jego marsowych min. Młodzieńcza miłość odbiła się na

nauce: ledwie dostała się na wymarzony kurs przygotowawczy. Paul West wpadł w gniew, który zmienił się w prawdziwą furję, gdy córka oznajmiła mu, że nie idzie na studia, bo nie znieśie rozstania z Rossem.

Ojciec i Ross powiedzieli sobie wiele przykrych słów. Ojciec oskarżył Rossa o to, że bawi się uczuciami dorastającej dziewczyny i chce dla kaprysu złamać jej życie. Ross odrzekł, że nigdy by jej nie skrzywdził i że taka sytuacja nie zdarzyłaby się, gdyby Isabel nie brakowało miłości we własnym domu.

Tak rozpoczęła się kłótnia, od której dom zatrzęsł się w posadach. Jej końcem było złożenie przez Rossa wymówienia i decyzja o szukaniu pracy za granicą.

Isabel nawet nie przeszło przez myśl, że jej uczucie może być nieodwzajemnione. Chciała jechać z Rossem, ale nie zgodził się, nie wyjaśnił nawet powodów swej decyzji.

Przeplakała całą noc, płakała rano, tak bardzo, jak gdyby miało jej pęknąć serce. Przy pożegnaniu uczepiła się go i nie chciała puścić. Pocałował ją w czoło i delikatnie uwolnił się z jej ramion, a potem wsiadł do samochodu i odjechał. Nawet się nie obejrzał.

Był środek lata, lecz Isabel czuła się jak podczas najciemniejszej, najmroźniejszej zimy. Była przekonana, że Ross uciekał od niej, że czuł się osaczony i chciał znaleźć się jak najdalej stąd.

Na drugim końcu miasteczka w pokoju hotelowym Ross także rozmyślał o wydarzeniach dzisiejszego dnia. Czuł ulgę na myśl o tym, że najgorsze ma już za sobą. Wprawdzie Izzy wciąż ma do niego żal

i nie jest zbyt zachwycona faktem, iż znowu pojawił się w jej życiu, i tak jednak wszystko skończyło się lepiej, niż przewidywał.

Matka na bieżąco informowała go o lokalnych sprawach, wiedział więc, że Izzy skończyła studia i podjęła pracę w gabinecie ojca. Kiedy zastanawiał się, czy mimo wszystko nie wrócić, dostał list od Paula Westa, który proponował mu przejście praktyki.

Podkreślał, że ceni go jako fachowca i że dzięki takiemu rozwiązaniu Ross znalazłby się blisko schorowanej matki, której stan stale się pogarsza. Następnie napomknął, że Isabel jest już dojrzałą kobietą, prawdziwą wyręka dla ojca, i że z pewnością cieszyłaby się, gdyby gabinet przejął ktoś znajomy.

Co do jednego Paul West miał świętą rację, pomyślał Ross, wyglądając przez okno. Isabel dojrzała. Zamiast słodkiej zapłakanej nastolatki zastał pewną siebie młodą lekarzkę, która dobitnie dała mu do zrozumienia, że wolałaby pracować z każdym, byle nie z nim.

Co prawda Paul West za nic nie przeproszał, ale Ross już dawno doszedł do wniosku, iż każdy ojciec uznałby przyszłość córki za ważniejszą od przelotnego zauroczenia. Miał do niego żal tylko za jedno: że zamiast rozmawiać, wysunął przeciwko niemu niedorzeczne oskarżenia, jak gdyby w jego relacjach z Izzy było cokolwiek niestosownego.

Ross wychował się w pełnej miłości rodzinie w jednym z dużych miast w hrabstwie Cheshire. Niedługo po tym, jak rozpoczął współpracę z Pauliem, zmarł jego ojciec, zaś matka i ciotka kupiły herbaciarnię, aby być bliżej niego.

Sally Templeton o nic nie pytała, gdy oznajmił, iż wyrusza w świat szukać szczęścia. Nawet jeśli podejrzewała, że decyzja Rossa ma coś wspólnego z młodziutką córką Paula Westa, nie dała tego po sobie poznać. Nie prosiła, by został, tylko z całego serca życzyła mu powodzenia. W końcu wrócił, choć sam nie był pewny, czy to nie był błąd.

Z okna pokoju widać było komin domku Izzy. Pewnie znalazłby się u niej jakiś wolny pokój, ale Izzy niczego podobnego mu nie zaproponowała. Zresztą kto by się jej dziwił? Ze zrozumiałych powodów będzie się starała trzymać go na dystans. Rozejrzał się po pokoju, mając cichą nadzieję, że Paul West nie będzie zbyt długo zwlekał z przeprowadzką. Chętnie zamieszkałby nad gabinetem choćby jutro.

Życzenie to miało spełnić się szybciej, niż Ross się spodziewał. Gdy wcześniej rano pojawił się w pracy, Paul oznajmił mu, że kupuje mieszkanie po sąsiedzku z Millie i załatwi wszystkie formalności jeszcze przed końcem tygodnia.

Ross się ucieszył, Isabel wręcz przeciwnie. Była to kolejna rzecz, którą ojciec zrobił za jej plecami. Teraz to już na pewno będzie wpadać na Rossa na każdym kroku. Oby sama nie musiała w końcu uciekać przed nim z miasteczka. Żeby chociaż trzymał się z dala od jej domu! Zdążą się dość na siebie napatrzeć w pracy.

A nawet jeśli Ross będzie miał jej dość, to do kogo może mieć za to pretensje? Nie ona prosiła, żeby wracał, tylko jej ojciec, a Paul West niczego nie robił bez powodu. I musiał mieć bardzo dobry powód, aby

z takim zadowoleniem zareagować na wyjazd Rossa przed laty.

Isabel przyjęła pierwszego pacjenta. Ku jej zaskoczeniu i on, i wszyscy kolejni doskonale wiedzieli o powrocie Rossa oraz o tym, iż przejmuje praktykę po jej ojcu.

- Dobrze, że pan doktor wrócił - powiedziała ogorzała od słońca farmer, gdy mierzyła mu ciśnienie. - Do dziś nie rozumiem, dlaczego tak nagle wziął i wyjechał. Nasze dzieciaki po prostu go uwielbiały.

- Tak, Ross zawsze miał świetne podejście do dzieci - przyznała, starając się nie myśleć o tym, ile razy z wypiekami na twarzy wyobrażała sobie chwilę, gdy będą starać się o własne dziecko. - Masz lekko podwyższone ciśnienie. Bierzesz ten lek moczopędny, który ci przepisałam?

- Ano, biorę.

- No to co się stało, Michaelu? Coś cię martwi?

- Nie bardziej niż zawsze. No, ostatnio cielak nam padł, ale poza tym stara bida.

Isabel pokiwała głową. Nie wszyscy okoliczni farmerzy byli zamożni. Niektórzy, tacy jak Michael Levitt, pomimo ciężkiej pracy z trudem wiąźali koniec z końcem.

- Pokaż się u mnie w przyszłym tygodniu. Może to nic takiego, ale jeśli nadciśnienie się utrzyma, zwiększymy nieco dawkę leku. Czasami wystarcza odrobina, żeby wszystko się unormowało.

Przyjmowała kolejnych pacjentów, ludzi, których większość znała całe swoje życie. Czują się dziwnie, wiedząc, że Ross jest tak blisko, uczy się tutejszych

zwyczajów, poznaje się z resztą personelu, czyli z recepcjonistkami oraz dwiema pielęgniarkami.

Późnym rankiem jedna z recepcjonistek, Sandra Scott, wdowa w średnim wieku, przyniosła jej kawę.

- Nie wiedziałam, że naszym nowym szefem zostanie syn Sally Templeton - stwierdziła podejrzanie zaróżowiona.

Isabel uśmiechnęła się zdawkowo.

- Też byłam zaskoczona.

- I co ty na to? - spytała Sandra. - Twój ojciec odchodzi i raptem pojawia się Ross. Gadałyśmy z dziewczynami i wszystkie jesteśmy w szoku.

- Poradzi sobie - odparła Isabel z przekonaniem. - Ross jest świetnym lekarzem, zresztą już tu kiedyś pracował, pamiętasz? Mój ojciec jest zmęczony i dojrzał do tego, żeby odwieść stetoskop na kołku i pozwolić mu obrosnąć kurzem. Przyjazd Rossa może okazać się dla nas wszystkich zbawienny.

Może jej akurat nie wyjdzie na zdrowie, ale praktyka z pewnością na tym skorzysta. Najwyższa pora, aby zaszły tu jakieś zmiany.

Kiedy wyszła z gabinetu, natknęła się na Rossa, który stał w poczekalni i rozglądał się z zamyśloną miną. Spojrzał na nią poważnie i spytał:

- Wszystko w porządku? Żadnych problemów?

- W porządku? No, uszom nie wierzę! - wyszeptała gniewnie. - Wczoraj pojawiaasz się jak grom z jasnego nieba, ojciec ogłasza, że idzie na emeryturę, a dzisiaj, jak gdyby tego było mało, informuje mnie z całym spokojem, że właśnie kupił mieszkanie obok Millie i w ciągu kilku dni zamierza się stąd

wyprowadzić. A ty gapisz się na mnie i pytasz, czy wszystko jest w porządku.

- Racja. To było głupie pytanie - przyznał - ale przypominam, że to nie ja robiłem z tego wielką tajemnicę. Nie miałem pojęcia, że o niczym nie wiesz, a co do kupna mieszkania, to wiedziałem o tym dokładnie tyle co i ty, czyli nic. Aczkolwiek nie ukrywam, że jest mi to na rękę.

Isabel milczała.

- Zostawia wszystkie meble - podjął Ross - więc będę się mógł od razu wprowadzić. Tak będzie znacznie wygodniej, niż gdybym mieszkał w hotelu.

- Rozejrzał się dookoła. - Moim zdaniem powinniśmy zacząć od zmiany wystroju i wymiany krzeseł w poczekalni.

- Całkowicie się z tobą zgadzam. Bura wykładzina, sinoniebieskie ściany i zimne, metalowe siedziska nie sprzyjają miłej atmosferze. Ciągle to ojcu powtarzałam, ale nie chciał słuchać. Takie błahostki go nie interesują.

- Tylko trzeba by się zastanowić nad kolorami. Może byś mi pomogła wybrać?

- Och, bardzo chętnie! - ucieszyła się, na chwilę zapominając o wszystkich swoich zmartwieniach.

- Może słoneczny żółty i odcienie kremowego, tapicerowane krzesła w pasujących kolorach i ciem-nomiodowa wykładzina, na której nie byłoby widać śladów butów?

Uśmiechnął się.

- Zgoda. Może wpadłbym do ciebie któregoś wieczoru, to omówimy szczegóły?

- Dobrze - odparła, a gdy uświadomiła sobie co

zrobiła, spróbowała się wycofać. - A nie uważasz, że byłoby wygodniej, gdybyśmy wszystko ustalili tu, na miejscu? Zamiast wyobrażać sobie, jak co wygląda?

- No tak. Może i masz rację - odparł zgodnie. - Jutro wieczorem? Mam dość siedzenia w hotelu.

Zastanawiała się, czy celowo wspomniał o hotelu, by poczuła się winna, że nie zaproponowała mu pokoju u siebie. Cóż, trzeba było o tym pomyśleć, zanim tu przyjechał.

- Dobrze, w takim razie jutro - odparła. - Wziąć próbki kolorów od Toma Pearsona? Zawsze braliśmy go do remontów.

- Jasne, o ile pracuje solidnie i szybko, bo z pacjentami i z remontem naraz zrobi się tutaj niezły bałagan.

- Umów się z nim tak, żeby pracował nocami. Znowu się uśmiechnął.

- Sprytnie. Widzę, że zawsze jesteś o krok przede mną.

Miał wrażenie, że trochę złagodniała. Jak przekonał się zaledwie chwilę później, całkowicie mylne.

- Cóż za miła odmiana. Ostatnio ciągle byłam na szarym końcu - odparła cierpko, potrząsnęła włosami i wyszła.

Niech teraz on się nad czymś trochę pozastanawia, pomyślała, wsiadając do samochodu.

Ross odprowadził ją wzrokiem. Powoli zaczynał ją rozumieć. Paul zawsze miał zadatki na despotę. Kiedy przed laty kazał mu się pakować i wynosić, Ross, choć przecież nie zrobił nic złego, położył uszy po sobie i potulnie wyjechał, zamiast odesłać go do wszystkich diabłów, ale chciał chronić Izzy.

Nie wrócił, dopóki nie dostał listu i nie uświadomił sobie, jak bardzo tęsknił za domem. A zapraszała go ostatnia osoba, po której by się tego spodziewał. Zupełnie jak gdyby Paul podawał mu gałązkę oliwną, choć znając tego szczerwanego lisa, najpewniej zamierzał go wykorzystać w sobie tylko znanych celach.

Istotnie bywał tu od czasu do czasu, pod nieobecność Izzy. Nie chciał nowych awantur z jej ojcem, jeszcze bardziej nie chciał jej znowu ranić.

List zmienił wszystko. Ross przyjechał, bo chciał być przy chorej matce i pomagać cioci Sophie. Ciotka zawsze była oszczędna w pochwałach, dzisiaj jednak, zaledwie wyjął blachy z piekarnika, spojrzała na schludne rządkci ciasteczek i z uznaniem poklepała go po plecach, co oznaczało, iż sztukę wyrabiania francuskiego ciasta opanował do perfekcji.

- Czemu wróciłeś? - spytała, przenosząc ciastka do chłodziarki. - Z powodu matki, praktyki czy młodej Isabel? Bo przez nią wyjechałeś, prawda?

- Tak - przyznał, ściągając piekarski fartuch. - Podejrzewam, że mało kto o tym nie wie. Ale teraz jest już dorosła, więc nie widzę problemu.

Nie rozwijał tematu. Istotnie wrócił tu z myślą o matce i o gabinecie Paula, ale i po to, by się upewnić, że u Isabel wszystko jest w porządku. Że przez to, co się wtedy stało, nie zmarnowała sobie życia.

Chyba nie zmarnowała. Najwyraźniej też dawno wyleczyła się z dziecięcej miłości. Chłodna, niezależna młoda kobieta, którą zastał po powrocie, z pewnością nie rzuci mu się w ramiona. Szkoda.

ROZDZIAŁ TRZECI

Ross chciał obejrzeć mieszkanie nad gabinetem, ale wolał z tym poczekać do czasu, gdy Izzy i jej ojciec ruszą na wizyty domowe. Nie chciał, by patrzyła, jak rozgląda się po pokoju, z którym wiązało się tyle wspomnień, jej samotność, ich przyjaźń, chwile, kiedy za wszelką cenę starał się ją rozbawić.

Wczoraj mówiła, że to zamierzchła historia, ale nie odwzajemniła jego spojrzenia. Te prześliczne fiołkowe oczy nie szukały jego wzroku...

Wchodził po schodach, wspominając bury pokoik zagracony masywnymi brzydkimi meblami, roztaczający zapach starzyzny, i nie spodziewał się zastać niczego lepszego.

Staął w progu, rozejrzał się i omal nie jęknął. Niewiele się pomylił: wprawdzie teraz było tu nieskazitelnie czysto, lecz poza tym pomieszczenie wyglądało dokładnie tak, jak je zapamiętał. Nie tylko gabinet musi się zmienić, postanowił w duchu. Ale nie wszystko naraz.

Nic dziwnego, że Izzy się wyprowadziła, pomyślał. Był ciekawy, jak urządziła dom, ale niestety nie zaprosiła go do środka.

Usłyszał lekkie kroki na schodach, tak odmienne od miarowych stąpień Paula, i czekał, zastanawiając się, dlaczego Isabel tak szybko wróciła.

- Zapomniałam czegoś - mruknęła, widząc jego zaskoczony spójrzanie. - Pytałam o ciebie, recepcjonistka powiedziała, że oglądasz pałacowe wnętrza, do których zamierzasz się przeprowadzić, więc pomyślałam, że zajrzę do ciebie i spytam, jak ci się tu podoba.

Uśmiechnęła się. Wyglądała młodo i świeżo pośród tych słoczonych starych mebli.

- Czy słowo „upiornie” wydaje się odpowiednie?

- spytał rozkapryszonym tonem.

- To za łagodne określenie - stwierdziła Isabel i rozejrzała się skrzywiona. - Co powiesz na klaustro-fobię? Średniowiecze? Potworność? Po tylu latach w tej klitce ojciec oślepie po wejściu do bielutkiego, nowiutkiego mieszkania.

- Po moim mieszkaniu w Holandii to rzeczywiście wygląda jak graciarnia - przyznał kwaśno.

Tym razem nie unikała jego wzroku.

- To po co przyjechałeś? Mogłeś odrzucić propozycję ojca.

Zapadła cisza. Isabel wstrzymując oddech, czekała na odpowiedź.

- Mam chorą matkę, jeśli o tym zapomniałaś...

- No tak, oczywiście. To dla Sally jak zastrzyk nowej energii.

- Cóż, przynajmniej ktoś ucieszył się na mój widok-stwierdził, kładąc nacisk na słowo „ktoś”. - Ty nie byłaś zbyt rozentuzjasmowana.

- A powinnam? - spytała podniesionym głosem.

- Nie dość, że stale mi przypominasz o największym upokorzeniu całego mojego życia, to jeszcze spiskowałeś z ojcem za moimi plecami i nikt nie spytał

mnie o zdanie. Jeśli spodziewałeś się wybuchu radości, to grubo się pomyliłeś.

- Ile razy mam ci powtarzać: nie miałem pojęcia, że ojciec nic ci nie powiedział? Chociaż znam go i nie powiem, żebym był tym zbyt zdziwiony. A tamto... Wczoraj dałaś mi do zrozumienia, że zapomniałaś o mnie, zanim wsiadłem do samolotu w Manchesterze.

Naiwny, pomyślała Isabel, ale cóż, wie tyle, ile mu powiedziała.

- Co napisał w tym liście?

- Że bardzo mu zależy, aby praktyka trafiła w godne ręce. I że może byłbym zainteresowany jej przejęciem. Kija nie było, za to była marchewka: jeśli się zgodzę, będę bliżej chorej matki.

Brakowało jedynie przeprosin za słowa, które przed laty padły w tych czterech ścianach.

- Masz stąd zniknąć - syczał Paul, stopniowo podnosząc głos. - Zostaw Isabel w spokoju. Bo zgłoszę to na policji i zanim się obejrzysz, stracisz prawo do wykonywania zawodu. Teraz tylko amory jej w głowie! Dziewczyna się nie uczy i jak tak dalej pójdzie, nie dostanie się na studia i będzie mogła za to podziękować wyłącznie tobie. Robisz jej wodę z mózgu i bawisz się jej uczuciami!

Umilkł zasapany, potem dodał głosem schrypniętym ze złości:

- Kobiety lecą na takich jak ty. Możesz mieć każdą. Czemu się uparłeś na moją córkę? Czemu ją w sobie rozkochaleś? Taką szarą myszkę?

- Ta „szara myszka” zadurzyła się we mnie - odparł z zimną furią. - A wiesz czemu? Ponieważ

jestem jedyną osobą, która ją zauważa. Która widzi jej samotność. Przy mnie zaczęła się znowu śmiać. Przestała myśleć, że nikogo nie obchodzi. Tak, zastępowałem jej ciebie. Ale ty jesteś taki zajęty oplakiwaniem zmarłej żony, że zapomniałeś, że została ci córka. Może gdyby Isabel była bardziej podobna do matki, byłbyś dla niej cieplejszy. Życzę ci, żebyś przestał na sekundę użalać się nad sobą i dobrze przyjrzał się córce. Piękno ma niejedno oblicze - rzucił i jak burza zbiegł po schodach.

Rozpacz Isabel wstrząsnęła nim go do głębi. Przez moment zastanawiał się, czy nie poszukać pracy gdzieś w pobliżu, lecz wiedział, że to nie jest rozwiązanie. Że Izzy pojechałaby za nim i musiałby ją znowu zranić.

W ogólnym zamęcie nie analizował własnych uczuć. Wiedział tylko, że nie chce, aby ta biedna samotna dziewczyna przez niego cierpiała.

Błagała, by został albo zabrał ją ze sobą, i omal się nie ugiął, jednak w uszach wciąż rozbrzmiewały mu słowa Paula: że Izzy marzyła o medycynie, dopóki go nie poznała. Że zmarnuje sobie życie i kiedyś będzie gorzko tego żalowała.

Paul miał wiele racji, niemniej obrzydliwe insynuacje, jakoby w ich przyjaźni było coś niezdrowego, sprawiły, że Rossa ogarnęła wtedy głucha wściekłość. Jak gdyby był jakimś cwaniaczkiem, który wykorzystuje osiemnastoletnią dziewczynę, aby polechtać własne ego.

Mijały lata, ale Ross nie zapomniał koszmaru rozstania, rozszlochanej Isabel obejmującej go kurczowo i chwili, gdy musiał się odwrócić i odejść, zanim zmięknie.

Od matki wiedział, że niechętnie, ale poszła na studia. Że na wakacje przyjeżdżała już nieco weselsza. Gdy przeczytał, że skończyła medycynę i wróciła do miasteczka, po raz pierwszy pomyślał, że jego poświęcenie nie poszło na marne.

Nie wyszła za męża, nie chodzi na randki. Te dwa strzępki informacji sprawiły, że zapragnął wrócić i zobaczyć na własne oczy, jaką kobietą stała się jego mała Izzy. Zmiana zapierała dech w piersi. Może nie wyrosła na oszłamiającą piękność, wciąż miała twarz o nazbyt szerokich ustach i krótkim, perkatym nosku, lecz widziało się tylko burzę włosów i ogromne fiołkowe oczy. Lekko zaokrągliła się tu i ówdzie, nic nie tracąc ze smukłości i zwinności żrebaka.

Fizyczne zmiany nie zaskoczyły go, jednak nie spodziewał się po niej takiej dojrzałości. Paul miał rację: Isabel to nie Izzy i tamta historia już się nie powtórzy. Stary wyga wiedział, kiedy może bezpiecznie nakłonić Rossa do powrotu.

- Muszę lecieć, nie chcę się spóźnić - odezwała się Isabel. - Jadę do Arrowsmithów na Tor Farm. Pamiętasz ich?

- Jasne. To ci, którzy bali się, że ich owce złapały pryszczycę, a potem okazało się, że to fałszywy alarm? Któraś z nich choruje?

- Ich córka, Kate. Chodziłam z nią do podstawówki, potem ona skończyła studia rolnicze. Dostała jakiegoś ataku, kiedy była w oborze. Krowa omal jej nie stratowała.

- Jadę z tobą - oznajmił ku jej przygnębieniu. - Nie masz pojęcia, jak tęskniłem za naszymi wzgórzami. Holandia jest płaska jak naleśnik.

- Skoro byłeś taki stęskniony, to czemu nie wróciłeś wcześniej?

- A chciałybyś tego?

- Nie - odparła niezupełnie szczerze.

- No to już znasz odpowiedź na swoje pytanie - odrzekł gładko. - Jedziemy?

Jeszcze tego potrzebowała, aby Ross wisiał jej nad głową, gdy będzie badała Kate. Wspólna przejażdżka także specjalnie się jej nie uśmiechała, ale co ma zrobić?

- Nie masz do mnie zaufania? - spytała oficjalnym tonem. - Chcesz mnie skontrolować?

- Ależ skąd. Gdyby tak było, powiedziałbym ci o tym. Ale chętnie zmieniałbym sceneryę. Chyba że będziesz się czuła skrepowana?

- Nie. Skąd taki pomysł? - mruknęła i poszli do ukochanego autka Isabel: używanego, wściekle zielonego minicoopera.

Zaledwie weszli do wielkiej izby o niskim suficie, Isabel przestała żalować, że nie przyjechała sama. Kate Arrowsmith rzuciła się konwulsyjnie; najwyraźniej atak się powtórzył.

- Kiedy to się zaczęło? - spytała chorą, która odpowiedziała niezrozumiałym bełkotem.

Przerażona matka wtrąciła, że ponad godzinę temu.

- Od kilku tygodni Kate źle się czuje - mówiła, gdy Isabel badała dziewczynę. - Ma mdłości, wymiotuje, boli ją głowa, czuje się osłabiona. Prosiłam, żeby poszła do lekarza, ale mówiła, że ma za dużo roboty. A dzisiaj rano, jak poszła do stodoły, że

mdlała i musieliśmy ją z mężem przynieść do domu. Czy to... padaczka?

- Możliwe - przyznała Isabel - ale napady padaczkowe z reguły nie trwają tak długo.

Spojrzała na milczącego Rossa.

- Jakaś postać płasawicy? Wysokie ciśnienie, do tego te drgawki...

- Całkiem możliwe. Najlepiej od razu wezwijmy karetkę - odparł, wyjmując telefon komórkowy.

Gdy pozostało już tylko czekać na jej przyjazd, spojrzał na chorą dziewczynę, która wpatrywała się w niego z niemym błaganiem w oczach.

- Jeszcze nie wiemy, co ci dolega, Kate - rzekł łagodnie.

- Raczej nie epilepsja, ale z ostateczną diagnozą musimy poczekać na wyniki badań.

Dziewczyna wymamrotała coś niezrozumiale.

- Tak samo mówią ludzie po udarze! - jęknęła jej matka. - Boże, tylko nie to!

- Nie miałyby takich drgawek - stwierdził Ross.

- W szpitalu dostanie silne środki uspokajające, zrobią jej badania krwi i tomografię mózgu. Wtedy będziemy mądrzejsi.

- Niech pani będzie przygotowana na pytania o narkotyki i alkohol - odezwała się Isabel. - Przedawkowanie daje najrozmaitsze objawy.

- Kate nie jest taka - odparła jej matka przez łzy.

- Wiedziałabym, gdyby coś brała.

- Co z nią, doktorze? - odezwał się ojciec dziewczyny. - Teraz nasza Kate jest tutaj gospodynią. Nie dalibyśmy sobie bez niej rady.

- Kate musi jechać do szpitala na badania - odparła Isabel. - Już wezwaliśmy karetkę, panie Arrowsmith.

Jeśli chcą państwo jechać z córką, to proszę śmiało, my zamknijemy dom. Gdzie zostawić klucze?

- Dzięki, Isabel - odrzekł pośpiesznie. - Później je odbiorę, mam zapasowy komplet. To czarny dzień dla naszej rodziny. - Uśmiechnął się błado. - Mieliliśmy dzisiaj kosić trawę, Kate i ja, ale raczej nic z tego nie będzie. - Spojrzał na Rossa. - Pamiętam pana. Pan jest synem Sally Templeton, tej z herbaciarni?

- Tak. Mam na imię Ross. I wprawdzie nie znam się na koszeniu trawy, ale jeśli czas pana goni, z chęcią spróbuję pomóc.

- Ja też chętnie pomogę, kiedyś całkiem sprawnie mi to szło - dodała Isabel. - Ale dopiero po pracy.

Usłyszeli pisk hamulców: przyjechała karetka. Gdy rodzina była w drodze do szpitala, Isabel pozamykała okna i drzwi.

- Jaką postawiłabyś diagnozę? - spytał nagle Ross.

- Hm. Mimowolne ruchy. Płaszawica albo...

- Albo co?

- Ogólnie mówiąc, jakiś typ dyskinezy.

- No, no. A skąd to przypuszczenie?

- Obawiam się, że nie jest to dowód mojej o-lbrzymiej wiedzy i doświadczenia. - Uśmiechnęła się. - Pierwszy raz stykam się z podobnym przypadkiem, ale ostatnio widziałam w telewizji dwa programy o dyskinezykach. Kate wygląda wypisz, wymaluj jak te biedne kobiety. Paskudne choróbsko. Obym się myliła co do Kate.

- Miałem pacjenta z dyskineza - odparł Ross. - Nie życzyłbym jej najgorszemu wrogowi. Na dodatek do niedawna była nieuleczalna. Teraz można pró

bować pomóc choremu operacyjnie. Wszczepia się do mózgu elektrody.

- W tych programach też o tym mówili - przytaknęła Isabel. - Ale trzymajmy kciuki, żeby okazało się, że to coś innego. Płasawica Sydenhama daje podobne objawy. Chociaż u chorych raczej nie występują zaburzenia mowy. U Kate, niestety, tak.

- Płasawica mniejsza, albo jeśli wolisz, Sydenhama, kiedyś występowała znacznie częściej. Ludzie żyli w nędzy, a wiadomo, co za tym idzie: chłód, wilgoć, niedożywienie... Długo by wymieniać. Nazywano ją wtedy „tańcem świętego Wita”. Niekiedy do płasawicy prowadzi gorączka reumatyczna. Zresztą na pewno nieraz o tym słyszałaś na studiach, nie chcę ci robić wykładu.

- Rzeczywiście trochę mi się śpieszy, a jeszcze chcę cię odwiedzić do gabinetu i...

- Przejdę się - odparł. - Trochę ruchu dobrze mi zrobi. Wiem, że nie przepadasz za moim towarzystwem.

- Wcale nie - zaprotestowała, czerwieniąc się po same uszy. - Zwykle ojciec jeździ do cięższych przypadków, ale widocznie nie podejrzewał, że z Kate jest aż tak źle i... Cieszę się, że jesteś tu ze mną.

Uśmiechnęła się smutno.

- Ojciec bardzo się zmienił. Setki razy prosiłam, żeby przyjął kogoś na miejsce Millie, ale zawsze mnie zbywał. Skąd miałam wiedzieć, że zamiast kogoś zatrudnić, sam planuje się zwolnić?

- A potem pojawiłem się ja - uzupełnił sucho Ross. - Ostatni człowiek, którego chciałaś zobaczyć.

Zamierzała zaprzeczyć, ale nie zdążyła.

- Nie szkodzi - mruknął. - Miałś prawo się zdenewrować. Obaj źle wtedy postąpiliśmy, a nie sędzę, żeby na starość charakter mu się poprawił.

- Wyrzucił cię, bo opuściłam się w nauce?

- Coś w tym rodzaju. - Przecież nie powie, że Paul groził, iż zezna na policji, jakoby wspólnik uwiódł jego córkę, gdy miała naście lat. - W każdym razie odtąd będzie inaczej. Koniec z pracą na dwa etaty.

- Nie będę protestować - odparła z westchnieniem. - Moje życie towarzyskie strasznie na tym ucierpiało.

- Czyli masz takowe?

- Miewam... od czasu do czasu. - Zaśmiała się. W ciemnych oczach, których nigdy nie zdołała zapomnieć, zamigotały iskierki rozbawienia.

- Ale nie jesteś zaręczona?

- O nie, łaskawy panie. - Znowu parsknęła śmiechem. - Nie jestem zaręczona. Nie ma wianuszka kawalerów błagających mnie o rękę. Po pierwsze, wiecznie jestem w pracy, po drugie, żadna ze mnie piękność. Rozczarowanie, jakie widzę w oczach ojca, ilekroć na mnie patrzy, skutecznie rozwiewa moje złudzenia.

Szkoda, że żywych nie potrafi kochać równie gorąco jak umarłych, pomyślał z irytacją Ross.

- Przeglądasz się czasem?

- Staram się tego unikać.

- Wariatka - powiedział z wyrzutem. - Wiele kobiet zrobiłoby wszystko, żeby mieć takie oczy i takie włosy. Z morderstwem włącznie.

- Ale nie twarz, która jest do kompletu.

- Mężczyźni boją się posągowych piękności.

- Nie bardziej niż lekarek. Spodziewają się kogoś zimnego i nieprzystępnego, a jeśli okazuje się, że jest inaczej, nie zwracają sobie głowy takimi drobiazgami jak antykoncepcja, no bo i po co? Jak lekarka, to chyba sama wie, co robić.

- Nie uwierzę, że ty jesteś taka.

- Jaka?

- Zimna... albo skora do wskakiwania komuś do łóżka.

- Już sama nie wiem, jaka jestem. Ale wiem jedno.. .

- Co?

- Jeśli zaraz nie ruszę, wrócę za późno, żeby wstąpić do herbaciarni na twoje maślane ciasteczko.

Wsiadła do minicoopera i odjechała.

Ross mógłby udusić Paula Westa gołymi rękami. Wracał do swojej Śpiącej Królowy, aby zbudzić ją pocałunkiem, a zastał Kopciuszkę. Jednak idąc cienistym zboczem, uświadomił sobie, że to tylko i wyłącznie jego wina. Odtrącił Izzy i sprawił, że poczuła się niekochana i nieatrakcyjna.

- Plan wypalił? - brzmiały pierwsze słowa Millie, gdy wieczorem otworzyła drzwi swojemu wieloletniemu przyjacielowi.

Paul pokręcił głową.

- Chyba źle się do tego zabraliśmy. Powinienem być uprzedzić Isabel, zamiast trzymać wszystko w tajemnicy i stawiać ją przed faktem dokonanym. Nie była zbytnio uszczęśliwiona. Moja hipoteza, że wciąż jest w nim zakochana, nagle zaczyna mi się wydawać śmieszna.

- Daj Isabel trochę czasu - odparła Millie. - Rossa nie było siedem długich lat. Nic dziwnego, że jego powrót jest dla niej szokiem. Zresztą chyba go dzisiaj widziałam, jakoś w porze lunchu, szedł od strony wzgórz i jeśli to rzeczywiście on, to zapewniam cię, nadal może się podobać kobietom.

- Możliwe - mruknął ponuro Paul. - Ale czy spodoba się kobiecie, która na próżno go błagała, żeby ją ze sobą zabrał? Która była w nim szaleńczo zakochana, albo tak jej się przynajmniej zdawało, i która, odkąd odszedł, z nikim się nie związała?

Millie podała mu kieliszek sherry, pogłaskała go po nie najgęstszych już kręconych włosach i dodała pocieszająco:

- Najważniejsze, że w końcu próbujesz naprawić błąd. Nie myśl już o tym. W przyszłym tygodniu zapomnisz o pracy, będziesz miał swoje wymarzone mieszkanie i mnie za ścianą. Będziesz siedział, odpoczywał i słuchał, jak spisuje się twój następca.

- Ross wrócił tu z dwóch powodów: aby przejąć praktykę i opiekować się matką. Może się myliliśmy i Isabel to już dla niego przeszłość.

Wczesnym wieczorem do gabinetu zadzwonił pan Arrowsmith. Wyjaśnił, że choć Kate wciąż jest w szpitalu, udało mu się wyrwać na kilka godzin i razem z parobkiem skosili całą trawę, więc pomoc jej i Rossa nie będzie potrzebna.

Isabel odetchnęła. Oczywiście pojechałaby, jednak perspektywa ciągłego przebywania z Rossem budziła w niej mieszane uczucia. Co za dużo, to niezdrowo.

- Jak się Kate czuje? - spytała.

- Bez zmian - odparł głucho. - Siwiejemy z żoną ze smartwienia. Lekarze też przebakują, że nie jest dobrze.

Isabel odłożyła słuchawkę i zamyśliła się. Swego czasu Kate skarżyła się bodajże na pewne problemy żołądkowe. Może wzięła jakieś leki? Przejrzała jej kartę i zapiski ojca, lecz nie znalazła żadnej wzmianki o niedawnej wizycie. Kończyła właśnie długą rozmowę z hydraulikiem i malarzem, gdy pojawił się Ross. Widząc jej zmarszczone czoło, od razu spytał, co się stało.

- Zastanawiam się, czy drgawek u Kate nie wywołał jakiś lek - stwierdziła. - Ale albo nie była u mojego ojca, albo on zapomniał opisać wizytę.

- Możliwe - odparł wolno Ross. - Całkiem możliwe. Czemu do niego nie zadzwonisz?

- Pewnie jest u Millie - mruknęła Isabel, sięgając po słuchawkę.

Ojciec odparł, że Kate go nie odwiedzała, za to niedawno była u niego jej matka.

- Na co się uskarżała? - podchwyciła Isabel.

- Przewlekłe nudności i wymioty - odparł Paul West. - Skierowałem ją do szpitala na badania, ale niczego nie wykazały. Przepisali jej metoclopramid, a ponieważ więcej się nie pokazała, pomyślałem, że jej pomógł.

W słuchawce zapadła cisza.

- Domyślam się, do czego zmierzasz - rzekł po chwili. - Rzeczywiście, metoclopramid daje czasem objawy mózgowie. Ale, jak mówiłem, nikt nie przepisywał go Kate.

- Owszem, ale też miała problemy z przewodem pokarmowym. Może matka dała jej metoclopramid i te ataki to niepożądane działanie tego leku.

- No może, ale... - zaczął przez przekonania, jednak Isabel pożegnała się szybko i spojrzała na Rossa.

- Słyszałeś?

- Dzwon do Arrowsmitha - powiedział, kiwając głową.

- Jeśli potwierdzi, że Kate przyjmowała metoclopramid, będą mieli szczęście. Drgawki ustąpią, jak tylko przestanie działać ostatnia dawka leku.

- Nie lepiej od razu do szpitala?

- Najpierw do Arrowsmitha. W szpitalu na pewno ich pytali, czy Kate bierze jakieś leki, ale różnie to bywa. Mogli nie pomyśleć, że to ważne, albo najzwyczajniej zapomnieć.

Zadzwoiła zatem do ojca Kate, ale nie zastała go w domu. -

- Pewnie zwozi siano z pola - mruknął Ross. -Będziemy musieli do niego pojechać.

- Tylko nakarmię moją menażerię - odparła. -Zwierzaki są przyzwyczajone, że wracam o stałej porze i byłyby niespokojne, gdybym się nie pojawiła.

- Dobrze - odparł zgodnie. - A potem do Tor Farm.

- A jeśli się mylimy?

- Nie sądzę. Za dużo tych zbiegów okoliczności.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kiedy dotarli na miejsce, ojciec Kate spojrział na nich niespokojnie z ciężarówki załadowanej belami siana.

- Co tym razem? Naszej Kate się pogorszyło?

- My w innej sprawie - odparła Isabel.

- Co się stało? - spytał, ocierając pot z czoła.

- Pańska żona cierpiała swego czasu na częste migreny, z mdłościami i wymiotami, prawda?

- Ano, zgadza się. Kate też się na to skarżyła. Słabe głowy i słabe żołądki często się zdarzają w naszej rodzinie.

- Czy córka mogła wziąć któryś z leków, które miała brać pańska żona?

- Chyba coś tam brała - przyznał. - Żona mówiła, że jej pomogło, a że coś zostało, no to oddała Kate.

- Żonie pomogło, ale córce zaszkodziło - odparł spokojnie Ross. - Nigdy, ale to nigdy nie powinno się brać leków bez konsultacji z lekarzem.

- To przez te proszki tak się pochorowała? - wychrypiął Arrowsmith. - Ta moja ślubna to gospodarna kobitka. Pewnie chciała oszczędzić na wizycie u doktora. Ale że kilka tabletek mogło tak zaszkodzić naszej córce? Wierzyć się nie chce.

- To jeszcze nic pewnego - odparła Isabel - ale wszystko na to wskazuje.

- I co teraz?
 - Zawiadomimy szpital. Przy odrobinie szczęścia napady drgawkowe ustaną.
 - Zona nie miała żadnych drgawek.
 - Naturalnie, inaczej nie podałyby córce meto-clopramidu - wtrącił Ross. - Po prostu nie wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że na ten sam lek każdy może zareagować inaczej. - Spojrzał na Isabel. Dzwoni. Im szybciej, tym lepiej.
 - Ja mam dzwonić? - zdziwiła się.
 - Tak, ty. Ty ją zdiagnozowałaś. Mądra z ciebie dziewczyna, Izzy-Izzy.
 - Nie nazywaj mnie tak - obruszyła się Isabel. - Nie jestem już twoją małą Izzy-Izzy. Nie wyobrażaj sobie, że możesz wrócić w moje życie tanecznym krokiem, jak gdyby nic się nie stało. Otóż stało się! I się nie odstanie!
- Pożałowała tych słów, zaledwie je wypowiedziała. A tak dobrze jej dotąd szło, była taka spokojna...

Zadzwoiła do szpitala. Stephen Beamish, neurolog, który prowadził przypadek Kate, wysłuchał Isabel, po czym stwierdził aksamitnym i zaskakująco młodym głosem:

- Prawdę mówiąc, tak przypuszczaliśmy. Pacjentka ma problemy z mówieniem, matka zarzekała się, że dziewczyna nie brała żadnych leków, ale coś jej nie dowierzałem.
- Wiem o tym od ojca Kate - odrzekła Isabel. - Podejrzewam, że badania krwi potwierdzą obecność metoclopramidu.
- No to świetnie. Dziękuję, że nas pani zawiado

miła. Kiedy będę w okolicy, może wybralibyśmy się gdzieś razem na drinka?

- Chętnie, Stephen. Zastanie mnie pan w gabinecie albo w domku nad rzeką.

Gdy skończyła rozmowę, ojciec Kate odezwał się cicho:

- Nie wiem, jak mamy ci dziękować, Isabel. Jeśli masz rację, powiem mojej ślubnej, żeby przestała dwa razy oglądać każdego pensa.

Zauważyła, że twarz Rossa nagle stężała. Zgodziła się na tego drinka z czystej przekory. Chciała zobaczyć, jak zareaguje, no i wciąż była na niego zła.

- Będziemy musieli poczekać - powiedziała - ale lekarz, który prowadzi Kate, uważa, że ataki mógł wywołać właśnie metoclopramid. To jeszcze nic pewnego, ale sądzę, że w szpitalu otrzyma pan dobre wiadomości.

Gdy wracali do gabinetu, Isabel czekała, aż Ross się odezwie, ale milczał przez całą drogę. Dopiero gdy dojeżdżali do herbaciarni, mruknął:

- Możesz mnie tu wysadzić. Jeszcze nie byłem u matki.

Nieco rozczarowana zatrzymała samochód. Złowiła jego spojrzenie i poczuła, że się czerwieni. Jak ma normalnie funkcjonować, skoro na sam jego widok robi się jej gorąco?

- Nie mogę dłużej wykorzystywać cię jak taksówkarza. Rano kupuję samochód, więc trochę się spóźnię. A wieczorem po zamknięciu wybieramy kolory farb?

- Pamiętam. Ja niczego nie zapominam. Zwłaszcza tego, jak bardzo cię kiedyś kochałam,

dodała w duchu. Ciekawe, co Ross by na to powiedział.

- Takie odniosłem wrażenie - przyznał sucho i spokojnie ruszył ku drzwiom herbaciarni.

Była pora lunchu, gdy zajechał przed gabinet nowiutkim czarnym bmw. Isabel szła właśnie do swojego auta.

- Robi wrażenie - stwierdziła pół żartem, pół serio. - I samochód, i tempo, w jakim zdobywasz to, czego chcesz.

- Nie lubię marnować czasu. Mam próbki wykładzin, rzucisz na nie okiem? - spytał z zadowolonym uśmiechem.

- Jaki kolor wybrałeś?

- Miał być miodowy, więc jest miodowy. Isabel westchnęła.

- Czy to westchnienie oznacza, że zmieniłaś zdanie? - spytał ostrożnie.

- Nie, skądże. Pomyślałam tylko, jaka to szkoda, że mój ojciec nie jest taki jak ty.

- Różnica pokoleń. W jego czasach zestawienie zielonego z brązem było ostatnim krzykiem mody. No, może niebieski, jak ktoś chciał zaszaleć.

Isabel roześmiała się, choć obiecywała sobie nie śmiać się z jego żartów.

- Miło się przekonać, że wciąż potrafię cię rozbawić - rzekł zadowolony z siebie.

- I rozbawić, i doprowadzić do łez - odparła ze spokojem i wsiadła do minicoopera.

Ross wyrzucał sobie, że zachował się jak głupiec. Wystarczyło mu pięć minut, aby zdenerwować Izzy.

Po co wracać do przeszłości, skoro Isabel najwyraźniej już dawno o niej zapomniała?

Wieczorem starał się zachowywać powściągliwie i rzeczowo. Zgodził się na większość propozycji Isabel, innego zdania był tylko wtedy, gdy wybierali wykładzinę do gabinetu i przeforsował praktyczniej-szy, ciemniejszy odcień.

- Będzie ślicznie - stwierdziła z entuzjazmem.

- Nie mogę się doczekać. Gabinet jest taki bury, a ja uwielbiam jasne, czyste kolory.

- Żadnych butelkowych zieleni i brązów? Nawet w domu?

- Wykluczone! Kiedy się urządzałam, wreszcie mogłam zrobić wszystko po swojemu i byłam w siódmym niebie.

Oczy jej lśniły jak gwiazdy.

- Jutro pokażę malarzowi, co wybraliśmy, potem zamówię wykładziny i krzesła - powiedział Ross.

- Bajecznie! - ucieszyła się. - Ale mam poczucie, że ciągle narzucałam ci swoje zdanie.

- Mnie to bez różnicy, byle było czysto i jasno. Kolory były mu najzupełniej obojętne. Za to jej zachwyty...

- To druga miła rzecz, jaka mnie dzisiaj spotkała

- pochwaliła się Isabel, zamykając gabinet.

- A pierwsza? - spytał. - Niech zgadnę: to był metoclopramid i Kate czuje się już trochę lepiej?

- Zgadza się - przyznała. - Ależ jej rodzice najedli się strachu.

- Oby wyciągnęli z tego nauczkę. Leki to nie

cukierki. Nawiasem mówiąc, ciocia Sophie już wczoraj o wszystkim wiedziała.

- Jakim cudem? - zdumiała się Isabel. - Jechaliśmy prosto z farmy.

- Owszem, ale parobek Arrowsmithów dotarł do miasteczka przed nami. W te pędy podzielił się taką sensacją.

- Jak to na wsi - stwierdziła z uśmiechem Isabel. - Pamiętasz?

- O tak. Zresztą ja też mam sensacyjną wiadomość.

- Jaką?

- Wczoraj po wielu tygodniach moja matka zeszła na dół i nawet trochę postąpiła za ladą. I co ty na to?

- To cudownie! - Oczy jej zabłyśły. - Twój powrót postawił ją na nogi.

- Z gościa jej nie uleczył, ale humor poprawił na pewno. I tak za długo zwlekałem - stwierdził z żalem. - Ale że akurat twój ojciec mnie namówił? Dziwne.

Nie podjęła tematu. Kiwnęła głową i oznajmiła:

- Zrobiło się późno. Muszę iść. Dobranoc, Ross.

- I ciemno. Odprowadzę cię.

- Nie trzeba. To tylko kilka minut spacerem. Przyzwyczaiałam się do radzenia sobie sama i niech już tak zostanie. Przez siedem lat nie miałam nikogo, kto by odprowadzał mnie do domu, i nie widzę powodu, aby to zmieniać.

Ross cmoknęła z ubolewaniem.

- Niedobrze. Oj, nie popisali się miejscowi kawalerowie.

- Czemu? Przecież mieszkałam w akademiku i zgodnie z życzeniami tatusia pilnie studiowałam i byłam bardzo grzeczna.

Stary bałwan! - pomyślał Ross. W dodatku bałwan z gustem i poglądami rodem ze średniowiecza.

- A co robisz, kiedy masz trochę czasu? - spytał, chcąc przedłużyć rozmowę.

- Sprzątam w domu, pracuję w ogrodzie i chodzę po zakupy.

- Niezbyt podniecający plan dnia.

- W weekendy ochotniczo wspomagam tutejszych ratowników jaskiniowych.

- To co innego! O niebo ciekawsze zajęcie od biegania po domu ze ścierką. Od dawna się tym zajmujesz?

- Odkąd skończyłam studia i wróciłam. Emocjonujące hobby, a zarazem bardzo pożyteczne. Ale nie współpracuję z nimi na stałe, a tylko od czasu do czasu, kiedy im brakuje ludzi.

Powinien się cieszyć, że tamto bezradne dziewczątko stało się samodzielne i niezależne, czemu więc myśl, że Isabel nie potrzebuje silnego męskiego ramienia, tak bardzo psuje mu humor? Czemu nie zachwyca go jej niebezpieczne hobby?

- Ile razy cię wzywali? - spytał z nagłym rozdrażnieniem.

- Och, kilka. W rejonie Castleton jest mnóstwo jaskiń. Pewnego razu jechaliśmy do grupy, która nie mogła się wydostać z częściowo zalanej jaskini, ale w tych stronach to się zdarza bardzo rzadko. Nie to co w Bakewell, gdzie jaskinie znajdują się na tym samym poziomie co wody rzeki Wye. - Nabrała tchu.

- Dwa razy wzywano nas, bo ktoś złamał nogę w kostce. W niektórych grotach na dnie leży pełno kamieni, więc łatwo o podobne kontuzje. Te grotki to właściwie dawne sztolnie, ale odkąd zamknięto kopalnię, nie ma komu wybierać luźnych kamieni i tak powstały zdradliwe rumowiska.

- Jak twój ojciec zapatruje się na takie niebezpieczne hobby?

Isabel wzruszyła ramionami.

- Nijak. Byleby pacjenci się nie skarżyli. Bardziej go interesuje kolacja u Millie.

- Bardzo się zmieniłaś. Kiedyś byłabyś...

- Jaka? Zagubiona jak dziecko we mgle? Słono zapłaciłam za swoją niezależność i nikomu nie pozwolę jej sobie odebrać, Ross - odparła chłodniejszym tonem, lecz wciąż się uśmiechała. - Cóż, idę. Do jutra.

Pomachała mu i zniknęła w gęstniejących ciemnościach.

W małej sypialni na poddaszu wyciągnięta na dywaniku przy łóżku Tess pochrapywała cicho, Kicia Kocia wtulona w bok swojej pani mruczała sennie. Isabel nie mogła zasnąć, choć ostatnio była taka zmęczona i przepracowana, że zapadała w sen, zaledwie jej głowa dotknęła poduszki.

Jednak to się zmieniło, odkąd wrócił Ross. Zamiast położyć się, zamknąć oczy i odpłynąć w krainę sennych marzeń, roztrząsała bez końca, co zrobił, powiedział, jak wyglądał.

Dzisiaj na przykład podpytywał ją o jej życie prywatne i był zdziwiony, że jest sama. On z pewnością

nie był święty. Zresztą taki przystojniak niejednej kobiecie musiał wpaść w oko. Wprawdzie dotąd unikała rozmów na osobiste tematy, ale przecież sam zaczął, więc chyba ma prawo zrewanżować się tym samym.

Obudziło ją ujadanie Tess. Półprzyciemnie spojrzała na zegarek: dochodziła piąta. Wyrzała przez okno, ale na dworze panował absolutny spokój, było bezwietrznie, nie poruszył się ani jeden listek, ani jedno źdźbło trawy. Powoli budził się dzień.

Tess wciąż szczeakała, więc Isabel wstała i bosa wyszła z sypialni, która znajdowała się na tyłach domu. Gdy wyrzała przez okno przy schodach, oczy jej się rozszerzyły: na środku trawnika stała duża, brązowa krowa i leniwie skubała świeżą zieloną trawę.

Było to dość dziwne, jednak jeszcze dziwniejszy był fakt, iż wokół krowy biegał Ross i najwyraźniej usiłował przegonić ją z ogrodu. Kiedy Isabel otwo[^] rzyła okno, zerknął w jej stronę i westchnął ciężko.

- Chciałem stąd przepędzić tego głodomora, zanim z twojego trawnika zostanie tylko wspomnienie, ale to wyjątkowo uparta bestia.

- Ciekawe czyja - zastanowiła się Isabel sennie. - Nie mam nic przeciwko temu, żeby poskubała sobie trawy, gorzej, że przy okazji podziurawi mi kopytami cały trawnik. Ale co ty tu robisz bladym świtem?

- Mama miała gorszą noc i Sophie po mnie zadzwoniła. Jak wracałem do hotelu, zobaczyłem tę cwaniarę i poszedłem za nią. Ale się ktoś rano zdziwi, kiedy wejdzie do obory i zobaczy, że jedna krowa mu zniknęła.

- Najbliżej stąd mieszkają Levittowie - odparła Isabel, wychylając się przez okno. - To biedna rodzina. Michael będzie zrozpaczony.

Usłyszeli warkot silnika, po chwili przed furtką zatrzymał się samochód.

- Najmocniej przepraszam - rzekł skruszonym tonem Michael Levitt, który siedział za kierownicą. - Pokryję wszystkie szkody. Nie sposób jej upilnować, wiecznie się gdzieś szwenda.

- Nic nie szkodzi, Michaelu. Nie przejmuj się. Najważniejsze, że jest cała i zdrowa.

- Zapędzę ją na pastwisko i wrócę po furgonetkę, dobrze? - Potem spojrzał na Rossa. - O, pan doktor Templeton. Słyszałem, że pan do nas wrócił. Dziękuję, że zatrzymał pan Patsy, zanim polazłaby Bóg wie gdzie. Przepraszam, że państwu przeszkodziłem.

Kiedy znowu zostali sami, Ross spojrzał na Isabel.

- Przepraszam cię za to wszystko - mruknął nieco speszony. - Trudno się człowiekowi dziwić, że wyciągnął mylne wnioski. Jest środek nocy, ty w nocnej koszuli, ja tutaj...

- Ale ty wszystko mu wyjaśnisz, prawda? - spytała ze słodyczą.

- Owszem - odparł bez zachwytu. - Cóż, nie spodziewam się zaproszenia na wczesne śniadanie w nagrodę za moje dobre chęci. Pozwól, że się pożegnám. Do zobaczenia w gabinecie, Izzy. Tylko się nie spóźnij.

- Phi! - fuknęła i wróciła do sypialni, ale już nie zasnęła.

Leżała na łóżku i podziwiała wschód słońca, czując się irracjonalnie szczęśliwa. Tysiące razy otwie

rała drzwi i wyglądała przez okno z nadzieją, że zobaczy Rossa, i nareszcie się doczekała. I po raz pierwszy, odkąd się rozstali, jego widok sprawił jej radość.

Pojawił się jak za sprawą czarów i nagle zrozumiała, że wciąż go pragnie i że wszystko zniesie, aby móc go widywać, słuchać jego głosu, a przy odrobinie szczęścia, aby i móc go dotknąć.

W sobotę niecałe dwa tygodnie od przyjazdu Rossa Paul West żegnał się ze swoimi pacjentami. Przez gabinet od rana przewijały się tłumy chcących pogratulować doktorowi przejścia na emeryturę.

Gdy pożegnali się ostatni goście, Paul mógł wreszcie wymknąć się do wymarzonego mieszkania nad rzeką. Isabel widziała nowe meble, które ojcu pomogła wybrać Millie, i nie mogła się nadziwić. Czy to ten sam człowiek, który zawsze dwa razy oglądał każdego pensa, zanim go wydał? Skąd ta nagła zmiana?

Niemniej na tym zmiany się kończyły. Wprawdzie odszedł z pracy i przeprowadził się, lecz pozostał tym samym skrytym despota, który proponuje dawnemu wspólnikowi przejście praktyki za plecami własnej córki.

Ross pomógł jej posprzątać po gościach ojca. Gdy wytarł ostatnią umytą szklanę, oznajmił:

- Zatem stało się. Kości zostały rzucone. Już zawsze będziemy sąsiadami, czy to ci się podoba, czy nie.

- O ile tu zostanę.

Znieruchomiał.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Że zamierzasz stąd uciec, bo ja wróciłem?

Ani jej się śniło porzucić swój mały raj nad rzeką. Powiedziała to tylko dlatego, że była ciekawa jego reakcji, ale zamiast wyprowadzić go z błędu, uśmiechnęła się zagadkowo:

- Pochlebiasz sobie, jeśli myślisz, że twój powrót ma dla mnie aż takie znaczenie.

- Czyli zostajesz? - upewnił się.

- Oczywiście, że tak - skapitulowała wreszcie. - Zresztą byłam tu pierwsza, prawda?

- O tak. I to czyni z ciebie panią na włościach.

Spojrzała na niego, pewna, że z niej szydzi, ale minę miał rozbawioną.

- Przemyślałem sobie, co mi niedawno mówiłaś, i dopiero teraz do mnie dotarło, że wciąż nie wiesz, dlaczego wyjechałem.

- Owszem, wiem - odrzekła głucho. - I długo trwało, zanim nauczyłam się żyć z takim upokorzeniem. Wyjechałeś, bo zrobiłam się zbyt męcząca z tym moim maślanym wzrokiem, żebraniem o twoją uwagę, jęczeniem, że jesteś miłością mojego życia.

- Naprawdę tak myślisz? - spytał powoli.

- Cóż... A nie mam racji?

- Niech ci będzie, że masz - odparł zrezygnowanym tonem. - Zresztą nie rozdrapujmy starych ran, Izzy. Wyjechałem i dzięki temu skończyłaś studia. Nie zostałąbyś lekarką, gdybym dalej odciągał cię od nauki, że zacytuję twojego ojca. Dużo osiągnęłaś. Nie wiem, czy to cokolwiek dla ciebie znaczy, ale jestem z ciebie dumny.

Oparł dłonie na jej ramionach i delikatnie ucałował ją w czoło. Isabel zeszywniała.

- Nigdy więcej tego nie rób, Ross - powiedziała zdławionym głosem, a kiedy podniosła na niego wzrok, było zupełnie tak, jak gdyby wskazówki zegara cofnęły się, wymazując ostatnich siedem lat.

Zniknęła pewna siebie młoda kobieta. Piękne fiołkowe oczy znowu stały się oczami smutnej, samotnej i niekochanej dziewczyny. Ross najchętniej przytuliłby ją i nie puścił dopóty, dopóki nie uwierzyłaby, że wszystko będzie dobrze. Ze on jej nie skrzywdzi, nigdy, przenigdy.

Powoli zabrał ręce i odezwał się miękko:

- Przepraszam, Izzy. To był tylko taki przyjacielski odruch. Bo chyba wciąż jesteśmy przyjaciółmi?

- Nie wiem - powiedziała cicho. - Nigdy nie wiedziałam, kim dla siebie jesteśmy.

Odwróciła się i wyszła z gabinetu. Było słoneczne popołudnie, nagle jednak weekend, którego nie mogła się wprost doczekać, wydał jej się pusty i bez znaczenia.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Przez pierwszy tydzień w gabinecie panował straszny chaos. Malarze pracowali dzień i noc, korytarz był zawalony stosami nowych krzeseł do poczekalni i nie można było się ruszyć. Fachowiec, który miał przyciąć nowe wykładziny, pojawił się, zanim jeszcze zdążyła wyschnąć farba.

Patrząc, jak gabinet zmienia się w oczach, zachwycona Isabel zapomniała o wszystkich obawach, jakie budził w niej powrót Rossa. Cieszyło ją wszystko: zapach farby, hałas, jaki robiła ekipa remontowa.

Chodziła rozpromieniona, a jej entuzjazm udzielił się Rossowi, który z zapalem rzucił się w wir pracy.

Jedną z pierwszych poniedziałkowych pacjentek Isabel była Kate Arrowsmith. Gdy Isabel mierzyła jej ciśnienie, dziewczyna stwierdziła kwaśno:

- Uprzedziłam mamę, że jeśli cokolwiek mi da, choćby i zwykły proszek na ból głowy, nawet go nie tknę, dopóki nie oddam go do laboratorium do przebadania. Wiem, że chciała dobrze, ale to był prawdziwy koszmar. Cud, że tata nie dostał zawału. Ale najważniejsze, że wszystko skończyło się pomyślnie i mogę dalej prowadzić farmę. - Zawiesiła wzrok na Isabel. - Słyszałam, że ten przystojniaczek, z którym wtedy do mnie przejechałaś, to Ross Templeton i że od niedawna jest waszym szefem.

- Tak, to prawda - odparła Isabel. - Już tu kiedyś pracowałem, dawno temu.

- Poważnie? - zdziwiła się Kate. - Nie pamiętam go. Może jak byłam na studiach.

- Najpewniej - odparła Isabel i szybko zmieniła temat. - Wyglądasz jak okaz zdrowia, Kate, ale pokaż się tutaj za kilka tygodni. W szpitalu pewnie też chcą cię jeszcze zobaczyć.

- Tak. Stephen Beamish, ten neurolog, kazał mi przyjść za miesiąc. Miły facet, ale to nie ta sama liga co Ross Templeton. A właśnie! Prosił, żeby ci przekazać, że jak będzie w tych stronach, zamierza złożyć ci wizytę.

- O nie! - jęknęła Isabel. - Kiedy ostatnio z nim rozmawiałam, rzeczywiście o czymś takim wspominał, ale myślałam, że grzecznościowo. Na miły Bóg, czy ja się zawsze muszę wpakować w jakąś kabałę?

- Wiem, wiem, obie jesteśmy aż za bardzo zajęte - odparła Kate, śmiejąc się z jej przerażonej miny.

- Ja na farmie, ty w gabinecie. Jasne, każdy musi zarobić na chleb, ale jak to się mówi, nie samym chlebem człowiek żyje.

Różnie to bywa, pomyślała Isabel po wyjściu dziewczyny. Lubiała swoją pracę, ale poza nią jej życie było kompletnie puste. Może powinna sprawić sobie trochę nowych ubrań, tylko właściwie po co?

Komu miałyby się podobać?

Kolejny tydzień minął nie wiadomo kiedy i znowu zaczął się weekend. Isabel miała wrażenie, że całe miasteczko żyje przygotowaniami do przyjęcia na

cześć Rossa, które miało odbyć się w herbaciarni Riverside.

A przynajmniej żyła nimi Sophie.

- Mam nadzieję, że przyjdiesz w sobotę po południu? - zagadnęła, gdy Isabel wpadła na ciastko. - Herbaciarnia będzie zamknięta, bo musimy wszystko przyszykować.

- Tak, tak. Oczywiście, że przyjdę - zapewniła, starając się zdobyć na odrobinę entuzjazmu.

Doskonale wiedziała, że większość gości zna powód wyjazdu Rossa z miasteczka i aż ich skręca z ciekawości, czy i teraz coś ich łączy. Oczywiście nic ich nie łączy i najpewniej nie łączyć nie będzie. Jej miłość do Rossa umarła, powiedziała sobie w duchu.

Czemu więc, odkąd tylko usłyszała o tym przyjęciu, wciąż zastanawia się, w co się ubrać, martwi się, że nie zdąży umyć włosów i zrobić wystrzałowej fryzury, bo rano pracuje? Jednak szybko straciła humor. Wtedy mu się nie podobała, więc dlaczego ma mu się podobać teraz? Nie zachwyci się nią, czy zdąży ułożyć włosy, czy nie.

- On wie, co planujecie? - spytała. Sophie pokręciła głową.

- Nie. I mówiłyśmy wszystkim, że to ma być niespodzianka. Ross nie lubi, żeby robić dookoła niego szum, ale mamy nadzieję, że mimo wszystko się ucieszy.

- Mój ojciec się wybiera? Starsza pani wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, czy sumienie mu pozwoli. Choć w pewnym stopniu odkupił swoje grzechy, oddając Rossowi praktykę.

Isabel popatrzyła na nią pytająco.

- Nie rozumiem...?

- Ja wiem, że ty nic nie rozumiesz. Och... - westchnęła Sophie i poszła obsłużyć innego klienta, potem oglądając się przez ramię, dodała: - Zresztą może to i lepiej. Twój ojciec to stary manipulant. Przed niczym się nie zawaha, byle postawić na swoim.

Jadąc do domu, Isabel zastanawiała się nad tą dziwną uwagą. O co Sophie chodziło? Dlaczego manipulant? Przy najbliższej okazji spyta ojca, czy Ross miał inne powody do wyjazdu oprócz tych, które znała. Wtedy nie roztrząsała, dlaczego znikł z jej życia. Liczyło się tylko to, że opuścił ją jedyny człowiek, który dostrzegał jej istnienie.

Ostatecznie postanowiła wystąpić w czarnej jedwabnej bluzce i w białych spodniach, które miała od wieków. Opuściła sobie wizytę u fryzjera, umyła włosy ulubionym szamponem, a kiedy wyschły, podkreśliła je lokówką, tak aby zachodziły na twarz. Cóż, przynajmniej z fryzury była zadowolona.

Nie chciała, by Ross pomyślał, że stroi się ze względu na niego, jednak zaledwie weszła do herbaciarni, najchętniej odwróciłaby się na pięcie i uciekła: Kate Arrowsmith miała na sobie kreację, której nie powstydziliby się modelka londyńskiego domu mody.

Doktora Templetona nie było nigdzie widać. Znowu zadzwieczał dzwonek nad drzwiami, a ona zobaczyła, że do herbaciarni wchodzi jej ojciec i Millie. Po chwili ktoś obwieścił teatralnym szeptem, że Ross zaraz tu będzie, i wszyscy ukryli się na zapleczu.

- Ciociu Sophie, gdzie jesteś? Co się tu dzieje?
- zawołał, zaskoczony widokiem niezliczonych półmisków z przekąskami.

W tej samej chwili drzwi od zaplecza otworzyły się i do sali wlał się tłum gości. Ross cofnął się zdumiony i spojrzał na matkę, bladą, ale uśmiechniętą.

- Witaj w domu, Ross - rzekła Sally zdławionym głosem.

- Witamy, doktorze - odezwał się ktoś z gości.

- Dobrze nam było z panem i mamy nadzieję, że tym razem wrócił pan już na zawsze.

Ross rozglądał się oszołomiony, potem zatrzymał wzrok na twarzy Isabel.

Wstrzymała oddech i czekała, ciekawa, co powie.

- Nie chciałem stąd wyjeżdżać - stwierdził spokojnie - ale po prostu nie widziałem wyjścia. Tym razem zamierzam zostać. Nikt i nic mnie stąd nie wypędzi. Dziękuję wam wszystkim za takie serdeczne powitanie. - Spojrzał na matkę i na ciotkę. - Nie muszę zgadywać, komu zawdzięczam tę niespodziankę.

Zapadła cisza. Zanim Ross zdążył nabrać tchu, odezwał się Paul West:

- Wybrałem Rossa Templetona na swojego następcę i wiedziałem, co robię - oznajmił cichym, wypranym z emocji głosem, który Isabel tak dobrze знаła. - Chciałem, aby gabinet znalazł się w dobrych rękach, a nie wyobrażam sobie lepszego kandydata.

Ross przestał się uśmiechać. Widząc to, Sophie spytała głośno:

- Zaczniemy od toastu za zdrowie nowego doktora?

Kiedy goście obiegli bufet, Isabel wymknęła się tylnymi drzwiami. Załowała, że tu przyszła. Przecież wszyscy wiedzą, dlaczego Ross wyjechał - z jej winy.

Wciąż była o tym święcie przekonana, mimo dziwnej uwagi Sophie. Jednak gdyby ojciec po prostu nie lubił Rossa, po co miałby ściągać go do miasteczka i na dodatek publicznie wychwalać?

Westchnęła. Życie, które jeszcze do niedawna wydawało jej się takie proste, nagle stało się skomplikowane i niezrozumiałe. Ani ojciec, ani Ross nie zastanawiali się nawet przez chwilę, jak bardzo przez ich wspólną decyzję zmieni się jej życie. O nie, w tym przedstawieniu liczą się tylko dwaj pierwszoplanowi aktorzy, Ross i Paul, których nie obchodzą zwykli statyści.

Gdzie ta Izzy? - zastanawiał się Ross, rozglądając się po herbaciarni. Chyba nie wróciła do domu?

Ilekoć szedł jej szukać, ktoś natychmiast go zatrzymywał, toteż Ross był coraz bardziej rozdrażniony. Na własnym przyjęciu powinien dobrze się bawić, ale nie potrafił. Po pierwsze, martwił się o Izzy, po drugie irytował go tupet Paula Westa, który zachowywał się tak, jak gdyby przyjazd Rossa do miasteczka był wyłącznie jego zasługą.

Gdyby wyszedł, sprawiłby przykrość matce i ciotce, więc został i krążył wśród gości z przyklepionym do ust uśmiechem. Nagle zauważył Isabel i odetchnął z ulgą, mimo że nie sprawiała wrażenia osoby, która dobrze się bawi. Gdyby jeszcze Kate, która od początku przyjęcia nie odstępowała go ani na krok,

zechciała bodaj przez chwilę porozmawiać z kimkolwiek innym, mógłby wreszcie podejść do Izzy.

Oczywiście Kate w dalszym ciągu kleiła się do Rossa, mizdrząc się i pusząc się jak paw w tej swojej fantastycznej kiece. Przyczepiła się do niego jak pijawka, pomyślała kwaśno Isabel. Na domiar złego Rossowi chyba wcale to nie przeszkadza, skoro nie próbował pozbyć się namolnej wielbicielki.

Isabel postanowiła niepostrzeżenie wymknąć się z herbaciarni, jednak okazała się nie dość szybka.

Ross przeprosił Kate i dogonił Isabel w chwili, gdy nacisnęła klamkę.

- Gdzie byłeś? - spytał.
- W ogrodzie. Czemu pytasz?
- Myślałem, że wyszłaś.
- Czemu? A nawet gdyby tak, to co to miałyby za znaczenie?
- Dla mnie duże. Po pierwsze, zanim twój ojciec wpadł mi w słowo, chciałem powiedzieć, że gdyby nie ty, nigdy bym sobie nie poradził. Że jesteś inteligentna, pracowita, sumienna i...
- ... fantastyczna i ogólnie „naj”?
- Nie rozumiem?
- Żeby wszyscy zapomnieli, jaka byłam, kiedy przede mną uciekłeś?
- Nic podobnego - zaprotestował. - Chciałem raczej dać do myślenia twojemu ojcu. Nie wiem, czy cokolwiek by do niego dotarło, ale domyślam się, jak musisz się teraz czuć, i bardzo cię przepraszam, Izzy.
- Nie ma za co, Ross. To było sto lat temu. Miłej zabawy - powiedziała cicho i podeszła do Kate, która

wdzięczyła się do wysokiego blondyna ubranego z powściągliwą elegancją.

- To Stephen Beamish, poznajcie się - zaszcze-biała na widok Isabel.

- Twój neurolog? - zdziwiła się Izzy. Mężczyzna uśmiechnął się.

- We własnej osobie. Uprzedzałem, że złożę pani wizytę, nieprawdaż?

- Rzeczywiście. Skąd pan wiedział, gdzie jestem?

- Byłem u pani, ale pani nie było, a jakiś farmer powiedział, że tu na pewno panią zastanę. Przyjechałem i zostałem zaproszony. Nie miałem pojęcia, że będzie tu również Kate. Akurat ona otworzyła drzwi. - Otaksowałem Kate pełnym uznania wzrokiem. - Ale to pani szukałem, doktor West. Chciałem pani pogratulować przenikliwości. Miała pani rację z tym lekarstwem.

Isabel prawie go nie słuchała. Przez cały czas zerkiała na Rossa, który wciąż stał przy drzwiach. Nie chciała rozmawiać z Beamishem. Chciała pomówić z Rossem w cztery oczy i spytać, dlaczego tak bardzo nie lubi jej ojca.

Najpewniej chodzi o jakąś błahostkę. Przecież gdyby było inaczej, Paul West nie przekazałby mu gabinetu, na którego renomę pracował całe życie. Zawsze wypowiadał się o nim w samych superlatywach, czemu więc Ross i Sophie zachowują się tak, jak gdyby mieli do ojca jakiś żal?

Zanim się spostrzegła, Kate zdążyła odejść od niej i od Beamisha i znowu zawisła Rossowi na ramieniu.

- Chętnie wstąpiłbym na kolację do jakiejś dobrej tutejszej restauracji - mówił właśnie Stephen Beamish.

- To piękna miejscowość, bardzo malownicza, nie uważa pani?

- O tak. Zachwycająca.

- I zapewne zna pani okoliczne restauracje?

- Owszem, z grubsza.

- Więc może da mi się pani porwać na kolację?

Oczywiście pani wybiera lokal.

Zamierzała uprzejmie odmówić, lecz jedno spojrzenie w kierunku Rossa i Kate, którzy wydawali się bardzo sobą zajęci, sprawiło, że zmieniła zdanie.

- Dobrze, tylko chciałabym najpierw wpaść do domu i się przebrać. Przyjęcie ma trwać do piątej. Jak się umawiamy?

- O siódmej? Porozglądam się po okolicy i podjadę po panią. Może wstąpię do pośrednika handlu nieruchomościami. A nuż wpadnie mi w oko jakiś dom...

- A co na to pańska żona?

- Boże mój, jaka żona? Jestem kawalerem. Trochę z braku czasu, trochę dlatego, że nigdy nie spotkałem odpowiedniej kobiety. A pani? Jest pani mężatką?

- Wciąż wolna. Chociaż spotkałam już odpowiedniego mężczyznę.

- Więc gdzie on jest? Czemu nie przy pani?

- Jest w pobliżu. Ale to stare dzieje.

- Z czego bardzo się cieszę. Zatem do zobaczenia o siódmej.

Jest sympatyczny i zabawny, pomyślała, kiedy się rozstali. Mimo to zaczynała żałować, że przyjęła zaproszenie na kolację. Z drugiej strony, czemu miałyby odmówić? Jej uczucia do Rossa wypaliły się już dawno temu... Prawda?

- Kate mówiła, że ten gość to neurolog, do którego dzwoniłaś z farmy jej rodziców - stwierdził Ross bez uśmiechu, gdy jego natrętna wielbicielka pożegnała się i wróciła do domu.

- Tak, to Stephen Beamish - odparła chłodno Isabel. - Zaprosił mnie na kolację.

Ross zagwizdał cicho.

- Szybki jest.

- Kate Arrowsmith też nie wygląda na nieśmiałą.

- Być może, ale nie zaprosiła mnie na randkę.

- Daj jej trochę czasu. I na pewno nie tylko ona się odważy.

- A czemuż to?

- Nie masz w domu lustra? Nigdy się nie przeglądasz?

- Tylko kiedy chcę przeliczyć siwe włosy albo poprawić krawat. Ale wróćmy do tego Beamisha. Co o nim wiesz?

- Że jest neurologiem i pracuje w szpitalu.

- Otóż to. Skąd wiesz, że nie ma żony i gromadki pociech?

- Mówił, że nigdy nie spotkał odpowiedniej kobiety.

- A ty mu wierzysz?

- Co za różnica, czy mu wierzę? Pójdę z nim na kolację i więcej się nie zobaczymy. Zresztą równie dobrze sam możesz mieć żonę i stadko dzieci, tylko się nimi nie chwalisz. Siedem lat to szmat czasu.

Uniósł brwi i spojrział na nią z niedowierzaniem.

- Żonę i dzieci? O których ty byś nie słyszała? Wiem, że za mną nie przepadasz, ale mnie nie obrażaj. Gdybym chciał, miałbym rodzinę. Poznałem

dziewczynę, która bardzo chętnie by się za mnie wydała, ale zgadnij, kim była? Córką mojego kolegi z pracy, Holendra, i dałem sobie spokój. Raz to przerabiałem i wystarczy.

- Niby co? - rozzłościła się.
- Doskonale wiesz co - odparł gniewnie, patrząc na coś za jej plecami.

Odwróciła się i spojrzała prosto w zimne, niebieskie oczy ojca.

- Wychodzimy z Millie. Gdybyście mnie potrzebowali, wiecie, gdzie mnie znaleźć.

Patrzyli, jak odchodzi, sztywny jakby kij polknął.

- Nie lubisz go, prawda? - odezwała się Isabel.
- Prawda. Nie lubię go ani trochę, bo wiem, jak cię traktował, ale darzę go pewnym szacunkiem.
- Gdybym była podobna do matki, byłoby inaczej.
- Być może, ale to go nie rozgrzesza. Powinien cię kochać za to, jaka jesteś. Millie nie rzuca na kolana swoją urodą, ale jej nie dokucza tak, jak zawsze dokuczał tobie.
- Może kiedyś - odparła. - Ale ja już nie jestem dzieckiem. Nie pozwolę sobą dyrygować, ani ojcu, ani nikomu innemu. Cóż, muszę iść. Jestem umówiona z Beamishem.

Czuła się dotknięta, że umieścił ją w tej samej kategorii co Millie, starą pannę po pięćdziesiątce i jedyną kobietę, która rozumiała i lubiła Paula Westa. Może dlatego Ross nie był zachwycony jej randką ze Stephenem Beamishem. Może po prostu trudno mu uwierzyć, że ktoś chciał się z nią umówić, zwłaszcza gdy obok kręciła się Kate w tej swojej zabójczej kreacji.

- Dokąd cię zabiera? - spytał.
- Mam coś wybrać. - Wzruszyła ramionami. - Pewnie do „Bażanta”.

- Baw się dobrze - powiedział już spokojniej.
- Nie skomentujesz, jakie to dziwne, że taki przystojny facet, lekarz, zaprasza mnie, chociaż krążyła przy nim Kate, która w tej sukni wygląda jak piękny motyl?

- Piękno to rzecz względna - odparł. - Chyba powinienem się trochę pokręcić wśród gości. Wypadałoby pogadać ze starymi znajomymi i przedstawić się tym, których wcześniej nie miałem okazji poznać.

- Oczywiście - odparła pośpiesznie. - Nie będę cię dłużej zatrzymywać. Do zobaczenia w poniedziałek.

O ile nie wcześniej, pomyślał Ross, gdy zęgnąła się z jego matką i z Sophie. Z tego, co mówiła Kate, Stephen Beamish to kobieciarz, który chętnie chwali się swoimi podbojami, i Ross nie zamierzał pozwolić, aby Isabel dołączyła do grona jego przelotnych miłostek.

Niepotrzebnie wtrąca się w jej prywatne sprawy. Tylko ją zdenerwował. A dopóki Izzy jest na niego zła, jak ma bronić jej przed przystojniaczkiem, któremu jedno w głowie?

Po rozmowie z Rossem nie potrafiła wykrzesać z siebie entuzjazmu na myśl o kolacji ze Stephenem Beamishem, chociaż musiała przyznać, że to bardzo atrakcyjny facet. Po pierwsze, wyrzucała sobie, że przyjęła luźno rzucone zaproszenie, a po drugie było jej przykro, że Ross zalicza ją do tej samej kategorii co Millie, bądź co bądź o pokolenie starszej.

Na domiar złego o tym, że nie założył rodziny, mówił w taki sposób, jak gdyby miał serdecznie dość córek lekarzy, jak gdyby historia sprzed lat zraziła go do kobiet takich jak ona. Dla Rossa się nie stroiła, chciała po prostu ładnie wyglądać, ale dla Stephena się wystroi. Nie zamierzała przy takim eleganckim mężczyźnie przypominać ubogiej krewnej z prowincji. Po namyśle zdjęła z wieszaka krótką czarną koktajlową sukienkę, której nigdy dotąd nie nosiła, i zaczęła się szykować.

Stephen Beamish był czarujący, nawet bardzo, jednak jego komplementy i spojrzenia wydawały się Isabel sztuczne, zupełnie jak gdyby odgrywał po raz setny tę samą scenę. No i ciągle jej dotykał. Kiedy zdejmował jej szal, zdecydowanie za długo trzymał dłonie na jej nagich ramionach, a kiedy siedzieli przy stoliku, co chwila niby przypadkiem trącał kolanem jej nogi.

Jeśli tak zachowuje się na dzień dobry, to co będzie, kiedy odwiezie ją do domu? Już zaczął przebąkiwać, że bardzo chciałby zobaczyć, jak ona mieszka, a sądząc z ognistych spojrzeń, jakie jej rzucał, nie miał na myśli salonu, lecz całkiem inne pomieszczenie.

Przeprosiła go i wymknęła się na chwilę do łazienki, aby od niego odpocząć i zebrać myśli. Zrobiła kilka kroków i nagle zatrzymała się: przy stoliku w małej wnęce, ukryty przed resztą gości, siedział Ross.

Pałaszował coś ze smakiem i zauważył ją dopiero wtedy, gdy stanęła tuż przy jego krześle i wyszeptła gniewnie:

- Co ty tu robisz?
- To samo co ty. Jem - odrzekł spokojnie. - Dobrze się bawisz z tym ogierem?
- Wiedziałeś? Przyznaj się!
- Źe to erotoman? Owszem. Kate mówi, że ugania się za wszystkim, co się rusza.
- Szpiegujesz mnie!
- Powiedzmy, że dyskretnie cię pilnuję. Jeśli będzie grzeczny, nie będę wam przeszkadzał. Ale gdyby ci się narzucił, mogę przyjść i powiedzieć, że musisz pilnie jechać do pacjenta albo cokolwiek innego.
- Stephen w to nie uwierzy. Od czego jest pogotowie?
- Aha! Rozumiem, że chcesz go spławić?
- Owszem - przyznała. - Ale nie zamierzam być nieuprzejma. Mam, co chciałam.
- Wracaj do stolika, a resztę zostaw mnie. Kiwnęła głową, czując się jak kompletna idiotka, i wróciła do Stephena.

Po kilku minutach do stolika podszedł Ross i powiedział z powagą:

- Strasznie przepraszam, że przeszkadzam, ale suczka Izzy, Tess, uciekła z ogrodu i teraz hasa nad rzeką. Pomyślałem, że Izzy powinna o tym wiedzieć.

Stephen ziewnął szeroko.

- Pan nie może pójść i złapać tego psa?
- Ona słucha tylko mnie - wtrąciła Isabel, wstając. - Przepraszam cię, Stephen, ale muszę gnać do domu. Moje zwierzaki są dla mnie wszystkim.

Oboje z Rossem szybko wyszli z restauracji.

- Śmiało, Ross, powiedz to. Ty miałeś rację, a ja się myliłam.

- Nie zamierzam niczego podobnego mówić. Powinienem był wspomnieć o opinii Beamisha, ale wiedziałem, jak byś to odebrała.

- Jak? Zamieniam się w słuch.

- Uznałabyś, że się wtrącam, że traktuję cię jak dziecko. No, to opowiadaj o panu Beamishu. Zasluguje na taką reputację?

- Uhm. Ciągle tylko by mnie głąskał, dotykał nogami moich nóg.

- Zaraz pójde i go wychowam.

- Nie, nie! To moja wina. Założę się, że był pewny, że taka brzydula będzie zachwycona, jeśli okaże jej trochę zainteresowania. Jeśli ty też tak myślałaś, to się myliłaś. Nie jestem zdesperowana, tylko dziecinna.

- Jak to?

- Chciałam, żebyś był zazdrosny.

- Po tym, co się stało, straciłem do ciebie wszelkie prawa, Izzy - zauważył. - Prawo do zazdrości. Do ingerowania w twoje życie. Nie wybaczyłbym sobie, gdybyś znowu przeze mnie cierpiała.

- Przynajmniej... wniosłaś trochę światła w moje ponure życie - stwierdziła ze smutkiem. - Byłaś taki życzliwy, zabawny, pełen zrozumienia. A ja wszystko zepsułam.

Ross przystanął i wziął ją za rękę.

- Nie zrobiłaś nic złego, Izzy. Po prostu byłaś dzieckiem, które ucierpiało w wyniku kłótni między dwoma dorosłymi facetami. Twój ojciec chciał, żebyś za wszelką cenę poszła na studia, a ja nie chciałem skandalu, więc uciekłem jak ostatni tchórz i zostawiłem cię samą.

Zapał zmrok, z nieba spoglądał na nich złoty letni księżyc.

- Jakiego skandalu...? - spytała zaskoczona.

- Twój ojciec zagroził, że powiadomi policję i Izbę Lekarską o moim rzekomym romansie z jego córką. Byłbym notowany i straciłbym prawo do wykonywania zawodu.

- Przecież nie było żadnego romansu!

- Ja to wiem, i ty to wiesz. Zresztą nawet gdybyśmy mieli romans, to przecież byłaś pełnoletnia. Ale on zeznałby, że to zaczęło się znacznie wcześniej, kiedy miałaś kilkanaście lat. Kiedy zapowiedziałaś, że nie pójdziesz na studia, bo nie chcesz się ze mną rozstawać, wpadł w desperację. Było mu wszystko jedno, fair nie fair, bylebyś zmieniła zdanie, i postawił mi ultimatum: albo wyjadę, albo on idzie na policję. Mogłem posłać go do wszystkich diabłów i zaryzykować swoje słowo przeciwko jego słowu, ale nie chciałem cię wciągać w taką ohydłą historię, narażać twojej opinii, więc wyjechałem.

- Jak on mógł? Mój własny ojciec! - wykrzyknęła Isabel. - To było podłe.

Ross uśmiechnął się cierpko.

- Być może, ale bardzo skuteczne. Zrobił z ciebie lekarkę. W pokrętny sposób oddał ci wielką przysługę, wystarczy tylko spojrzeć, ile osiągnęłaś. Może być z ciebie bardzo dumny.

- Phi! A przy okazji wywrócił twoje życie do góry nogami i nawet cię nie przeprosił?

- Ale mnie tu ściągnął. Widocznie już nie widzi we mnie zagrożenia.

Przez chwilę patrzył tylko, jak księżyc przegląda się w jej pięknych fiołkowych oczach.

- To może udowodnijmy mu, że się myli - powiedziała.
- Myślisz? - spytał miękko i objął ją ramionami.
- Uhm - wyszeptała, szukając jego ust. Stephen, który doszedł do wniosku, że powinien

pomóc jej szukać tego cholernego psa, przyglądał im się przez moment, po czym uznał, że pozostaje mu tylko zawrócić i odjechać w siną dal.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ryk silnika sprawił, że Isabel wysliznęła się z ramion Rossa.

- Co się stało? - spytał, gdy auto z wielką prędkością pomknęło w mrok. - Ktoś znajomy?

- Stephen przyjechał po mnie podobnym samochodem.

- Jeśli jeszcze do niego nie dotarło, że nie ma na co liczyć, to już chyba nigdy nie dotrze - odparł Ross ironicznie, potem spoważniał i zawiesiwszy wzrok na jej ustach, wciąż wilgotnych od jego pocałunków, dodał: - Znacznie ważniejsze jest to, o czym rozmawialiśmy, zanim cię pocałowałem. Nie chcę, żebyś wyciągnęła niewłaściwe wnioski.

- Czyli jakie? - spytała głucho.

Magiczny nastrój prysł.

- Ze chcę cię uwieść, żeby odegrać się na twoim ojcu.

- Należałoby mu się. Zachował się paskudnie.

- Przy całej mojej antypatii do twojego ojca, jestem innego zdania - odparł spokojnie. - Gdyby nie jego intrygi, mogłabyś nie skończyć studiów i nie mieć pracy, która daje ci tyle radości. Gdyby nie on, nie wróciłbym tam, gdzie zawsze chciałem być.

- Słuchaj, Ross - powiedziała gniewnie. - Ja wszystko rozumiem. Żałujesz tego, co się stało przed

chwilą. Żałujesz tego, co się stało siedem lat temu. Wszystkiego żałujesz i wcale ci się nie dziwię. Miałeś powody, żeby się do mnie zrazić. Niepotrzebnie zaczęłam tę rozmowę. Boże, co za dzień. Dwie randki z dwoma różnymi facetami. Pewnie byłabym w siódmym niebie, gdyby nie to, że od tego, którego nie chciałam, musiałam się dosłownie opędnąć, a drugi mnie pocałował i natychmiast zaczął opędnąć się ode mnie.

Odwróciła się i nabrała tchu.

- Dzięki, że mnie odprowadziłeś i uratowałeś przed tamtym typkiem. Ale poradziłabym sobie sama. Jak zawsze.

- Skończyłaś? Przypomniałaś mi już, gdzie moje miejsce? - spytał, kiedy urwała, by znowu złapać oddech.

- Owszem.

- Świetnie. W takim razie zabieram się stąd. Do zobaczenia w poniedziałek. Podobno zapowiada się piękny dzień.

Piękny dzień? Nie po tym, co wydarzyło się dzisiaj!

Ross wymyślał sobie w duchu od ostatnich idiotów. Zamiast cieszyć się, że uratował Izzy przed tym donżuanem od siedmiu boleści, był wściekły. Nie mógł sobie darować, że zrobił coś, czego obiecywał sobie nigdy nie robić.

Objął ją i pocałował te ciepłe usta, jak gdyby to było coś najnaturalniejszego pod słońcem. Stephen Beamish nieświadomie oddał mu niemałą przysługę. Spłoszył magiczną chwilę i sprawił, że Ross się opamiętał.

Dopiero co wrócił do miasteczka, a już popełnił błąd i zaczął zbliżać się do Izzy. Miał się nie śpieszyć i co? Dał plamę przy pierwszej okazji.

Musiał wciąż sobie przypominać, że najważniejsza jest praca. Wszyscy będą patrzeć, jak sobie radzi, a Paul West najwnikliwiej.

Po powrocie do gabinetu przeszedł się po świeżo odmalowanych pomieszczeniach i uśmiechając się na wspomnienie zachwyconej miny Isabel, pomaszzerował do burej, zagraconej klitki na piętrze.

Jest na mnie zła, pomyślał, ale wcale się jej nie dziwił. Przecież myślał jedno, a mówił zupełnie co innego. Izzy zawsze budziła i wciąż budzi w nim tyle czułości, że łatwo byłoby popełnić kolejny błąd, lecz nie zamierzał sobie na to pozwolić. Nigdy więcej nie sprawi bólu smutnej dziewczynie o fiołkowych oczach. Muszą nauczyć się żyć obok siebie w tym pięknym miasteczku pośród wzgórz i dopóki nie upora się ze wszystkimi problemami w pracy, jego najgorętsze pragnienie będzie musiało pozostać w sferze marzeń. Ale pocieszał się, że nie będzie musiał czekać długo.

- Mój Boże! - wykrzyknęła Jess w poniedziałek rano, zaledwie weszła do gabinetu. - Cóż za metamorfoza! Od razu lepiej się poczułam, kiedy tylko zobaczyłam, jak tu ładnie. Lubię takie jasne kolory.

- To może chcesz odwołać wizytę? - zaśmiała się jedna z recepcjonistek.

- Niestety nie - westchnęła Jess. - Widziałas moją twarz? Jakby mnie pszczoła użądliła. Isabel mówiła, żebym się pokazała, jeśli opuchlizna nie zejdzie.

- Wiem. Zaraz cię przyjmie. Już jej zaniósłam twoją kartę, za chwilę cię poprosi.

Isabel wprost nie mogła się doczekać pierwszego pacjenta. Przez całą niedzielę rozpamiętywała wieczorne spotkanie z Rossem. Kiedy ją objął, zapomniała o bożym świecie. Było tak romantycznie, noc, księżyc i oni. Martwiło ją tylko jedno: że kiedy ją całował, czuła się jak ktoś, kto wraca do domu z dalekiej podróży.

Była wściekła, gdy pojawił się Beamish i wszystko zepsuł. Ross zrobił się powściągliwy i milczący, ale wcale mu się nie dziwiła. Raz omal nie złamała mu kariery, to zrozumiałe, że woli unikać kłopotów.

Odtąd będzie dla niego tylko koleżanką z pracy, to przynajmniej obiecywała sobie setki razy podczas długiej, bezsennej nocy. Spragniona miłości kobieta musi na razie zniknąć.

- Wszystko w porządku? - spytał Ross, gdy zajrzała do gabinetu.

- Tak, w najlepszym - zaszczebotała.

- To dobrze. Poczekalnia pęka w szwach - mruknął. - Aha. Gdyby zdziwiły cię hałasy dobiegające z góry, to wiedz, że dzisiaj zaczynam remont kuchni i łazienki.

- Szybko. Normalnie tygodniami szuka się ekipy. Uśmiechnął się.

- Sterroryzowałem kilka osób, postraszyłem, że zwariuję, jeśli będę musiał dłużej mieszkać w takich warunkach, i jak się okazuje, to bardzo skuteczna metoda.

Isabel przyjęła pierwszego pacjenta, a ściślej bio

rać, pacjentkę - była nią Jess, kierowniczką poczty. Isabel spojrzała na jej opuchniętą twarz i zrozumiała, że antybiotyki nic nie dały.

- Niestety, muszę cię skierować do szpitala na badania - oznajmiła. - To może być kamica przewodów ślinowych. Jeśli mam rację, to nie obejdziesz się bez małego zabiegu.

Jess jęknęła.

- Jeszcze tego mi potrzeba. Twarz mam jak balon i zamiast spać po nocach, zamartwiam się, czy mi nie zamkną poczty.

- Z tym pierwszym szybko sobie poradzimy, ale byłoby okropnie, gdybyś musiała zamknąć interes. Nie wyobrażam sobie tego miasteczka bez twojej poczty i sklepu. Chyba zaczęłyby się zamieszki. U ciebie kupiłam pierwszą paczkę cukierków, i u ciebie będą kupować cukierki moje dzieci... O ile starczy mi czasu na założenie rodziny.

I jeśli znajdę mężczyznę, z którym będę je mogła mieć, pomyślała ze smutkiem. Przypomniała sobie chwilę, gdy Ross ją pocałował. Dla niej był to dopiero początek, na niego pocałunek najwyraźniej podziałał jak znak „stop”.

- Kiedy dostaniesz decyzję?

- Niebawem. Mam nadzieję... - mruknęła Jess kwaśno.

Była wdową. Sama posłała na studia dwóch synów i radziła sobie z prowadzeniem sklepu i poczty, ale też umysł miała jak brzytwa, a do tego niespożyta energię.

- Zbieram podpisy pod petycją, mam nadzieję, że nie dojdzie do najgorszego - dodała Jess.

- Ja też. Musieliby powariować, żebyście zamknąć swoją pocztę. Mieli likwidować mniejsze placówki, a twoja jest duża i świetnie prosperuje.

Kiedy Jess wyszła, do gabinetu zajrzał Ross.

- Długa ta wizyta. Coś się stało?

- Właściwie to nie - odparła. - A co, mierzysz mi czas? Podejrzewam, że Jess ma kamice ślinianek, więc skierowałam ją do szpitala. Potem rozmawialiśmy o tym, co będzie z naszą pocztą.

- To z takimi problemami chodzi się teraz do lekarza?

- Może i nie, ale jeśli nie śpi się po nocach i żyje w ciągłym stresie, a można się komuś wygadać i poczuć się lepiej, to czemu tego nie zrobić?

- Dobrze, dobrze - mruknął. - Spytałem, bo zauważyłem, że długo tu siedziała i pomyślałem, że to coś poważnego. Oczywiście skonsultowałam się z mną, gdyby tak było.

- Jak najbardziej - odparła z rozdrażnieniem. - Tu nie jest jak w prywatnych przychodniach, w których dotąd pracowałeś. Gdyby Michael Levitt przyszedł na kontrolę ciśnienia i chciał przy okazji opowiedzieć mi o swoich problemach finansowych albo o pokazowym byku, który powinien dostać medal na wystawie, a nie dostał, to bym go wysłuchała. Ci ludzie to moi przyjaciele. Byli przy mnie, kiedy ty bawiłeś Bóg wie gdzie.

- Dobra, rozumiem to, ale chyba już sobie wyjaśniliśmy, dlaczego wyjechałem?

- Owszem, i gdybym wiedziała o tym wtedy, może wylałabym o kilka łez mniej. Następnym razem, jak będę rozmawiała z ojcem, powiem mu pa

rę przykrych słów. I jeszcze jedno: skoro tak pilnujesz, żebym trzymała się grafiku, może pozwól mi spokojnie pracować?

- Jasne, ale może daj ojcu spokój? Na swój własny autorytarny sposób robił to, co uważał dla ciebie za najlepsze. Kto wie, czy nie miał racji? Nie wiadomo, dlaczego mnie tu ściągnął, ale czy to nie wszystko jedno? Ważne jest tylko to, żeby gabinet funkcjonował. Prawda?

- Naturalnie - odparła aksamitnym tonem. - Nie musisz mi o tym przypominać. Praktycznie sama go prowadziłam, zanim się tu pojawiłeś. A może już

o tym nie pamiętasz?

- Ja niczego nie zapominam, Izzy - powiedział I patrzył, jak jej policzki oblewają się rumieńcem, po czym cicho zamknął drzwi.

Mijały dni, zbliżał się środek lata, a na pustym polu na obrzeżach miasteczka, gdzie jeszcze do niedawna hulał wiatr, zaczęła się gorączkowa krzątanina. Jak co roku przyjechało wesołe miasteczko na całe trzy dni.

Był czwartek, wozy kempingowe, przyczepy i olbrzymie ciężarówki z karuzelami i automatami do gier parkowały gdzie popadnie, panowała atmosfera podniecenia.

- Zupełnie zapomniałem o ich przyjeździe - stwierdził Ross, gdy z okna w gabinecie oboje z Isabel obserwowali kolumnę samochodów. - Pamiętasz, jak zabrałem cię na samochodziki i tak trzęsło, że zrobiło ci się niedobrze?

- Pamiętam - odparła, obracając się w jego stronę.

- Umierałam ze strachu, ale można powiedzieć, że wtedy ciągle się czegoś bałam.

- Ale teraz już nie?

- Zdecydowanie nie. Od dawna wolę spokój od emocji.

Chciała znowu wyrzeć przez okno, lecz chwycił ją za ramiona i obrócił szybko.

- Mimo wszystko chciałbym cię tam zabrać, Izzy. Isabel podniosła na niego pytające oczy i zastanawiała się przez chwilę.

- Dobrze, zgoda - odrzekła beztrosko, licząc na to, że wspólny wypad pomoże im obojgu zapomnieć o ostatniej przykrej rozmowie... i o tamtym pocałunku.

- To kiedy miałabyś ochotę pójść? - spytał Ross.

- W sobotę wieczorem. Wtedy krócej pracujemy.

- Znakomicie. Przyjadę po ciebie koło siódmej, dobrze?

Nawet świetnie, pomyślała; perspektywa wspólnej wyprawy zmieni nudny weekend w coś, czego nie może się doczekać. Jediną czarną chmurą na horyzoncie była myśl, że zaproszenie padło w sekundę po tym, jak próbowała dać mu do zrozumienia, że ma dość mężczyzn, miłości i rozczarowań, wszystkiego, co burzy spokój ducha.

Prawdę mówiąc, nie do końca sama w to wierzyła. Kiedy Rossa nie było, rzeczywiście była zrównoważona i spokojna, lecz teraz czuła, że znowu przestaje panować nad emocjami. Jej życie coraz bardziej przypominało jeden wielki chaos i z każdym dniem była coraz bliższa pogodzenia się z prawdą, że wciąż chce z nim być.

Tego samego ranka Isabel wybrała się do położonej na odludziu farmy w cieniu wielkich wzgórz. Odkąd Ross prowadził gabinet, miała znacznie mniej wizyt domowych niż do tej pory. Ross także robił więcej, niż do niego należało. Jean Derwent mieszkała wraz z kilka lat starszym od siebie mężem oraz resztą rodziny na farmie Blackstock w posepnym kamiennym budynku, z dala od ludzi.

O wizytę prosił jej mąż, który wyraźnie był nie w sosie.

- Żony farmerów nie powinny być chorowite - zauważył kwaśno - a Jean podłapuje każdą wirusówkę, jaka tylko pojawia się w okolicy.

Jednak tym razem wcale nie wyglądało to na zwykłą wirusówkę. Jean miała paskudny mokry kaszel, problemy z oddychaniem i gorączkę.

- Od dawna kaszlesz, Jean? - spytała Isabel.

- Od tygodnia - wychrypiała chora. - I jest coraz gorzej.

Brian nie jest zachwycony, że ma tyle dodatkowej roboty, a że córki w szkole, nie ma nikogo do pomocy.

- Powinniście byli wcześniej do mnie zadzwonić.

- Wiem, ale wstyd mi było tak się ze sobą cackać.

- Co ty pleciesz? Masz wszystkie objawy zapalenia płuc.

- Och, nie! - jęknęła Jean.

- Och, tak, niestety.

- Brian będzie zły.

- Być może, ale i tak pojedziesz do szpitala. Gdzie on teraz jest?

- Pewnie przy świniach.

- Pójdę z nim porozmawiać.

Słyszając kroki Isabel, Brian podniósł na nią wzrok i zapytał:

- Ico?

- Wysłałam ją do szpitala. Oczywiście musi jeszcze przejść badania, ale podejrzewam, że to zapalenie płuc.

Farmer wpatrywał się w nią ze złością.

- A nie mógłby przyjechać tamten drugi doktor? Niech on się wypowie. Pani to dopiero studia skończyła.

- Innymi słowy, moja opinia panu nie wystarcza.

- Już mówiłem. Pani jest świeżo po studiach i w ogóle.

- Pracuję dostatecznie długo, żeby rozpoznać podręcznikowe zapalenie płuc, ale skoro pan sobie życzy konsultacji, poproszę doktora Templetona, żeby tu przyjechał.

- I bardzo dobrze - burknął farmer.

- Co się stało? - spytał Ross, gdy Isabel zadzwoniła do niego z komórki.

- Jestem u Derwentów, na farmie Blackstock -odparła. - Jean ma zapalenie płuc, ale jej mąż nie ma do mnie zaufania i prosił o ciebie.

- Dobrze. Już ruszam. Poczekasz?

- Nie widzę powodu. Aha, jeszcze nie dzwoniłam do szpitala, ale moim zdaniem nie ma na co czekać. - Skończyła rozmowę i spojrzała na skrzywionego farmera. - Pożegnaj się tylko z pańską żoną i jadę. W razie czego mogę popilnować pana dzieci, oczywiście o ile mi pan zaufa.

- Pożyjemy, zobaczymy - mruknął niechętnie. Isabel pomyślała, iż lepiej zostać starą panną niż

żoną takiego człowieka jak Brian Derwent. Wsiadła do samochodu i ruszyła drogą przez rozległe wrzosowiska. Nie ujechała daleko, gdy zobaczyła, że jakiś człowiek przedziera się przez kolczaste krzewy porzeczkowe i kolcolisty. Mężczyzna zmierzał w odwrotnym kierunku.

Był wysoki, brodaty i ogorzały od słońca, miał na sobie płaszcz koloru khaki i wymiętoszony filcowy kapelusz. Musiał ją zauważyć albo przynajmniej usłyszeć samochód, lecz nie zareagował i dalej szedł przed siebie, z pochyloną głową, jak gdyby znajdował się w zupełnie innym świecie.

Widok spacerowiczów w pobliżu miasteczka czy na wzgórzach nie był niczym niezwykłym. Między innymi dlatego herbaciarnia Sally i Sophie stała się taka popularna. Miasteczko na pograniczu hrabstw Derbyshire i Cheshire odwiedzały rzesze amatorów pięknego krajobrazu. Isabel normalnie nie zwróciłaby uwagi na samotnego wędrowca brnącego przez wrzosowiska, jednak tym razem nie wiadomo czemu zatrzymała samochód i patrzyła, jak wysoka postać w płaszczu oddala się i w końcu znika jej z oczu. Właśnie miała uruchomić silnik, gdy zauważyła samochód Rossa.

- Jak sytuacja na farmie Blackstock? - spytał, opuściwszy szybę w oknie.

- Niezadowolony z życia i dość nieuprzejmy farmer z chorą żoną. Nie chciał mnie słuchać i poprosił, żebym ściągnęła ciebie.

- I co ty na to?

- Bardziej dotknęły mnie jego manieri niż brak wiary w moje umiejętności. Chętnie stamtąd wy

jechałam. Ta jego farma przyprawia mnie o gęsią skórkę.

Ross rozejrzył się dookoła.

- Zapomniałem, jak tu bywa ponuro nawet w środku lata.

- To prawda - przyznała. - Przyjeżdżam tutaj, kiedy chcę spokojnie pomyśleć. Wrzosowiska mają pewne posepne dostojęństwo, ponadczasowość, która sprawia, że wielkie problemy stają się malutkie.

- Dziwne z siebie stworzenie, Izzy. Wiem, że nie było ci łatwo.

Zaczerwieniła się po same uszy.

- Czy ja się na coś skarżę? Może kiedyś, ale już dawno przestałam. Mam pracę, którą kocham pasjami, własny dom, Tess i Kicię Kocię, które nigdy mnie nie zawiodły, mojego wiernego mini i...

„Od niedawna ciebie”, chciała dodać, ale ugryzła się w język. Pewnie on widzi to inaczej. Nie zapraszałby jej do wesołego miasteczka, gdyby nie był przekonany, że już dawno przestała się w nim pod-kochiwać.

Jeszcze do niedawna sama była tego pewna i nie chciała, aby wrócił, mieszkał o zaledwie kilka minut drogi od jej domu, wiesznie był w pobliżu i na nowo wrósł w jej życie, lecz teraz wszystko zaczęło się zmieniać i coraz bardziej się bała, że znowu się ośmieszy.

Ross milczał, pewny, że słowa, które tak bardzo chciał usłyszeć, nigdy nie padną z jej ust. Jeden namiętny, pełen słodczych pocałunek nie oznacza, że Izzy wciąż coś do niego czuje.

- No to jadę - powiedział w końcu. - Nie chciał

bym, żeby pan Derwent był niezadowolony, że kazałem mu długo na siebie czekać. Zobaczymy się w gabinecie, Izzy.

I odjechał czarnym bmw.

Kiedy ponownie się spotkali, Ross oświadczył:

- Miałś rację co do Jean Derwent. Skierowałem ją do szpitala, ku wielkiemu niezadowoleniu jej męża. Nie wiem, jak to określić, ale panuje u nich co najmniej dziwna atmosfera, w każdym razie wyjeżdżałem z przeświadczeniem, że na tej farmie dzieje się coś niedobrego.

Isabel kiwnęła głową.

- Tak. Doskonale cię rozumiem. Widziałeś może wysokiego mężczyznę w wojskowym płaszczu?

Ross posłał jej zaskoczone spojrzenie.

- Nie. A czemu pytasz?

- Zauważyłam kogoś takiego, zanim się spotkaliśmy na drodze. Szedł w stronę farmy.

- Normalna rzecz. Pewnie kolejny amator pieszych wycieczek.

- Jasne. Ale wydał mi się jakiś dziwny.

- Może dlatego, że to nie pogoda na grube płaszcze - zaśmiał się Ross. - Zobaczysz, jeszcze zgłosi się do gabinetu z wysypką od przegrzania.

- Proponowałam Brianowi Derwentowi, że posiedzę z jego dziećmi - dodała, poważniejąc. - Wspominał ci o tym?

Ross pokręcił głową.

- Nie. Powiedział, że ściągnie swoją matkę z Carlisle. Od kiedy Derwentowie mieszkają na farmie Blackstock? Zupełnie ich nie pamiętam.

- Kupili ją pięć lat temu. Brian był wtedy zupełnie innym człowiekiem. Pełnym entuzjazmu, energii, ale bez doświadczenia w pracy na farmie. Rok czy dwa kiepskich zbiorów i wieczne problemy zdrowotne Jean zmieniły go w ponuraka, którego miałeś przyjemność dzisiaj poznać. Za to dzieci mają prze-kochane. Bethany ma osiem lat, Charlotte sześć. Uspokoję się, kiedy będą pod opieką babci.

Ross słuchał jej ze zmarszczonym czołem.

- Jesteś ich lekarzem, Izzy. I o ich zdrowie powinnaś się martwić. Problemy w domu i na farmie muszą rozwiązywać sami. Nie możesz brać na siebie takiej odpowiedzialności. Mają krewnych, przyjaciół, a w ostateczności zawsze mogą się zgłosić do opieki społecznej. My się lepiej martwmy o nasz gabinet.

- Nie musisz mi ciągle o tym przypominać - odparła chłodno. - Jestem przekonana, że gdybym zaniedbała swoje obowiązki, nie omieszkałbyś natychmiast mi tego wytknąć. To prawda, że większość moich pacjentów ma rodziny, a co do przyjaciół, to sama się do nich zaliczam. Jasne?

- Co racja, to racja, ale chyba popadasz w przesadę. Za bardzo się wszystkim przejmujesz, a masz dość własnych problemów. Ojca, który myśli tylko o sobie, i mnie na karku.

Miał nadzieję, że zaprzeczy, lecz spotkało go rozczarowanie. Isabel milczała.

Kiedy przyjechał po nią w sobotę wieczorem, zaprosiła go do domu, choć nie była przekonana, czy to dobry pomysł. Rozsądek podpowiadał jej, by trzymać go na dystans.

Przez dłuższy czas rozglądał się tylko, patrzył na grube kamienne ściany pomalowane na pastelowe kolory, na imitujące antyki meble kupione na przeróżnych aukcjach i wyprzedażach.

- Ładnie tu! - orzekł w końcu. - Już rozumiem, czemu tak bardzo lubisz ten dom. Od kogo go kupiłeś?

- Od kolegi ojca, zresztą za całkiem rozsądną sumę. Wymagał tylko małego remontu, nie to co ta klitka nad gabinetem. - Siedziała naprzeciwko Rossa w salonie, którego sufit przecinały grube drewniane belki, i uśmiechała się pogodnie. - Mówisz, że za bardzo się przejmuję cudzymi problemami, ale kiedy zamykam za sobą te drzwi, wszystko odpływa. Nie chcę, żeby ktokolwiek mi przeszkadzał. Więc sam rozumiesz, jakie spotkało cię wyróżnienie. Pokazałam ci mój prywatny schron przed światem.

- Schron? A przed kim się ukrywasz?

- Przed ojcem chociażby. Dostatecznie długo mnie tyranizował.

- A potem ni z gruszki, ni z pietruszki rzuca pracę i się wyprowadza - skomentował Ross kwaśno. - Ludzki umysł to niezbadana tajemnica, oględnie mówiąc.

- Byłoby zupełnie inaczej, gdyby moja mama nie umarła i gdyby nie musiał wychowywać córki równie przeciętnej, jak jego żona była wyjątkowa.

- Przestań! - jęknął. - Przestań się tak roztkliwiać nad swoją rzekomą brzydota, Izzy. Nie to ładne, co ładne, tylko co się komu podoba.

- Doprawdy? - spytała wolno. - A ty? Jak mnie widzisz?

Zapadła cisza.

- Widzę kobietę o włosach złotych jak dojrzała kukurydza, oczach jak dwa fiołki i ustach, które są za duże przy nosie, który jest zbyt mały. Zadowolona? Jeśli nie zmieniłaś zdania, to ruszajmy do tego wesołego miasteczka.

- Ja nigdy nie zmieniam zdania - odparła identycznym jak on tonem. - Chodźmy.

Z dali niosła się skoczna muzyka.

- Zupełnie jakby to było wczoraj - powiedział z uśmiechem Ross. - A minęło siedem długich lat, Izzy. Zmieniłaś się, a zarazem jesteś taka sama. A ja?

Była bliska paniki, nie wiedziała, do czego zmierza ta rozmowa. Ross domyślił się, że nie przestała go kochać?

- Nie wiem, czy się zmieniłeś, czy nie. Nie sięgam pamięcią aż tak daleko - odparła, choć prawda była całkiem inna.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Aby dotrzeć na pole, na którym rozbiło się wesołe miasteczko, musieli przejść koło nowych apartamentów nad rzeką. Isabel miała nadzieję, że ojciec nie zobaczy ich z okna; wolała nie myśleć, jakie wnioski by wyciągnął. Wprawdzie już od dawna była niezależna, jednak wciąż potrafił jej dopiec, zupełnie jak wtedy, gdy była małą dziewczynką.

Paul West oglądał telewizję, więc niczego nie zauważył, jednak Millie była na posterunku. Popatrzyła chwilę, jak młodzi spacerują w ten piękny letni wieczór, i chwyciła za słuchawkę.

- Właśnie ich przegapiłeś - oznajmiła bez tchu.

- Kogo?

- Twoja córka i twój były wspólnik szli przed chwilą w stronę wesołego miasteczka. Wygląda na to, że są w jak najlepszej komitywie.

- To dobrze! - ucieszył się Paul. - Zaczynałem myśleć, że się pomyliłem i że Isabel już nic do Rossa nie czuje. Ciekawe, czy to był pomysł z tym wesołym miasteczkiem.

- Czy to ważne? - odparła Millie szczęśliwa, że Paul jest szczęśliwy. - Wystarczy, że są razem.

- Nie wierzę! - wykrzyknął roześmiany Ross. - To te same samochodziki, choć minęło tyle czasu.

Przejdiesz się czy boisz się, że podziałają na ciebie jak ostatnim razem?

- Nic mi nie będzie - zapewniła, bardziej martwiąc się o to, że będzie musiała siedzieć tak blisko Rossa.

- Siadaj za kierownicą - rzucił, jednak po kilku efektownych kolizjach z innymi samochodzikami dodał rozbawionym tonem: - Może jednak byłoby lepiej, gdybyśmy razem prowadzili?

Ich dłonie spotkały się i znowu poczuła się tak, jak gdyby wszystko nagle wróciło na swoje miejsce. Pośpiesznie przesunęła rękę, tak by Rossa nie dotykać.

On zaś zmarszczył czoło. W ostatniej chwili uniknął zderzenia z samochodzikiem, w którym siedziały dwie dziewczyny. Izzy nie chce, żebym jej dotykał, pomyślał pośpiesznie, pamiętając, jak tuliła się do niego, gdy całował ją tamtej księżycowej nocy.

Z niewesołych rozważań wyrwała go kolejna kolizja. Zostali trafieni równocześnie z obu boków, zaczęły się żarty i przeprosiny, było mnóstwo śmiechu.

- Może jednak ja poprowadzę, hm? - spytała przekornie, kiedy przestała się śmiać.

Wrócił im dobry humor, a kiedy było już po przejeździe, Ross zaproponował:

- To co, może na diabelski młyn?

Potem były rzutki, automaty do gier i kłęby cukrowej waty. Isabel dawno nie czuła się taka szczęśliwa - dopóki nie zauważyła Briana Derwenta z Bethany i Charlotte.

Ross także ich zobaczył i spojrzął na nią pytająco.

- Zamienię słówko z Brianem - powiedziała. - Spytam, jak się czuje Jean. Chociaż może ty powi

nienieś z nim pomówić, skoro do mnie nie ma zaufania.

- Chyba nie sądzisz, że ci podziękuję? Zresztą nie chcę się w to mieszać.

- Mimo że też uważasz, że na farmie Blackstock dzieje się coś dziwnego?

- Owszem.

- Chyba każdemu na jego miejscu byłoby miło, że ktoś się interesuje jego rodziną.

Ross westchnął.

- A tak dobrze się bawiliśmy. No dobrze, idź pomówić z Derwentem, ale nie zdziw się, jeśli nie ucieszy się na twój widok.

- Pójdę - odparła chłodno. - Wypada przynajmniej zapytać, co z jego żoną.

Dogoniła farmera i spytała:

- Jak się czuje Jean?

- Nie widziałem jej, odkąd karetka zabrała ją do szpitala - mruknął. - Ponoć jest coraz lepiej i jakoś po weekendzie mają ją wypuścić do domu.

- Nawet pan u niej nie był?

- A po co? Na pewno by tego nie chciała.

- Boże miły, dlaczego?

- Chce ode mnie odejść.

- Odejść?! - wykrzyknęła Isabel. - Jean? Przecież ona pana kocha! I dzieci!

- Taa? Dzieci może i kocha, ale mnie na pewno nie. Jak tylko jej się poprawi, ucieknie z jednym takim mądrałą. To botanik, wynajmuje dom niedaleko od naszego.

- Może pan się myli?

- To pewne jak amen w pacierzu - odparł cierpko.

- Spędza z nim więcej czasu niż ze mną, kwiatki ogląda i takie tam. No, starczy tego wtykania nosa w moje sprawy, zabieram dziewczynki i idziemy.

- No i co? - zagadnął Ross, zaledwie wrócił.

- Co ci powiedział?

- Brian twierdzi, że Jean chce go rzucić dla jakiegoś botanika, który wynajął dom w okolicy - odparła pełnym niedowierzania tonem.

- Ach! To dlatego jest taki zgryźliwy i nieprzyjemny. A może to u niego normalne? Bo jeśli tak, to wcale się jego żonie nie dziwię.

- Brian może i jest ponury, ale marnie im się wiedzie, a to dumny człowiek. Tacy źle znoszą niepowodzenia.

- Albo myśli, że żona chce rozwodu?

- To na pewno - przyznała. - Ale słuchając Bria-na, miałam wrażenie, że mówi o innej kobiecie. Jean, którą znam, jest kochającą matką i dobrą żoną. Jedno jest pewne: nigdy nie zostawi dzieci, a Brian pewnie ich nie odda.

Zamyślona nie zareagowała, gdy Ross wziął ją za rękę. Wyrzucała sobie, że popsowała taki przyjemny wieczór. Patrząc w ciemny aksamit nieba, powiedziała cicho:

- Miałaś rację. Nie powinnam była się wtrącać. Odradzałeś mi to, ale ja musiałam być mądrzejsza, nie posłuchałam i już wiem, że zamiast się bawić, będę myśleć o Derwentach.

- Rozumiem, że się o nich martwisz, ale to nie powód, żeby nie spać po nocach. Czy fakt, że tobie jest źle, komukolwiek spędzał sen z powiek? Bo na pewno nie twojemu ojcu - odparł.

Wiedział, że to nie do końca prawda. Był ktoś, kto nie spał nocami, zamartwiając się o nią, kto wszystkiego żałował i nie mógł zapomnieć, ile przez niego wycierpiała.

- Było, minęło - odrzekła spokojnie, zabierając rękę.

I mówiła szczerze. Chciała, aby zaczęli od nowa, wolni od bolesnych wspomnień i rozczarowań. Ale co z tego, skoro Ross myśli tylko o praktyce i tylko na pracy mu zależy.

Wracali w znacznie gorszych humorach. Przed domem Isabel powiedziała z przygnębieniem:

- Sprawiam ci same kłopoty, Ross.

- Hej! - Uśmiechnął się. - Jakie kłopoty, dziewczyno? Spytałaś, jak się czuje twoja pacjentka, co w tym złego? Zresztą jak znam życie, to jutro rano będziesz u Jean Derwent, czy się to jej mężowi podoba, czy nie.

- Czytasz w moich myślach - przyznała ze smutnym uśmiechem. - Uwierz mi, nie wtrącałabym się bez powodu, ale po tym, co usłyszałam od Briana, po prostu muszę zobaczyć się z Jean. Nie wierzę, że chce go zostawić, ale na pewno powinna z kimś porozmawiać.

- Nie musisz mi się tłumaczyć - stwierdził trzeźwo. - Dopóki nie zaniedbujesz pracy, to, co robisz w weekendy, to twoja prywatna sprawa.

- Masz ci los! Jakbym słyszała własnego ojca! - powiedziała z rozdrażnieniem.

- O co ci chodzi?

- Wy ciągle o tym gabinetcie. Nie bój się, Ross, nie sprawię ci zawodu.

Zła jak osa weszła do domu.

Jeszcze dobrze nie zamknęła drzwi, a już zrobiło jej się przykro. Uchyliła je i zobaczyła, jak Ross odchodzi szybkim krokiem, nie oglądając się za siebie. Miała do siebie żal, że puściły jej nerwy. Przecież chce dobrze z nim żyć. Przeprosi go przy pierwszej okazji, czyli niestety dopiero w poniedziałek, pomyślała, wchodząc po schodach i zastanawiając się, czy kiedykolwiek będzie im dane być razem.

Nie, powiedziała sobie w duchu. Przestań się oszukiwać. Gdyby Ross chciał czegoś więcej, wiedziałabyś o tym. Na pewno miał powyżej uszu ciebie i twoich fochów i nie mógł się doczekać, kiedy się z tobą rozstanie. Lepiej się zastanów, jak przeprowadzić rozmowę z Jean, zamiast dumać o niebieskich migdałach.

Isabel szła w kierunku sali, lecz nagle zwolniła kroku; Jean nie była sama. Przy łóżku siedział brodac, którego widziała na wrzosowiskach. Jego buro-zielony wojskowy płaszcz leżał obok, przewieszony przez krzesło.

- Doktor West! - ucieszyła się na jej widok Jean, która wcale nie wyglądała na zmieszaną. - Jak miło, że pani przyszła.

Widząc, że gość zrywa się z krzesła, Isabel powiedziała pośpiesznie:

- Proszę, niech pan nie wstaje.

Mężczyzna uśmiechnął się do niej.

- I tak miałem się zbierać. Nie będę paniom przeszkadzał. To na razie, Jean.

Wziął płaszcz i wyszedł.

- Kto to? - spytała Izzy. - To ten mężczyzna, dla którego chcesz rzucić Briana?

- Kto ci nagadał takich bzdur? Mój mąż? - jęknęła chora. - To był Simon Stoddard. Jest botanikiem, mieszka po sąsiedzku. Oboje uwielbiamy rośliny. Temu mojemu postrzelonemu mężowi już do końca pomieszało się w głowie. Miałabym go zostawić? Zostawić moje córeczki? - Westchnęła ciężko. - Brian jest o niego zazdrosny. Okropnie się pokłóciliśmy i w złości powiedziałam, że wolałabym być z Simonem niż z kimś, kogo nic nie cieszy. Wbił sobie do głowy, że chcę rozwodu, a ja mam naprawdę dość jego humorów i postanowiłam na razie niczego nie prostować. Może to go czegoś nauczy.

- Chwała Bogu... - Isabel odetchnęła z ulgą. - Byłoby mi smutno, gdybyście się rozstali. Zawsze wierzyłam, że wytrwasz z Brianem, choć nie ma łatwego charakteru.

Jean uśmiechnęła się pogodnie.

- Wytrwam. Jutro wypisują mnie do domu i wtedy skrócę jego męki.

- A ten botanik? Zamierzasz dalej się z nim widywać?

- Nie, choć będzie mi trochę żal, bo to bardzo interesujący człowiek. Ale bardziej mi żal Briana. Tyle przeżył, odkąd mieszkamy na farmie, poza tym wiem, że jest, jaki jest, ale bardzo mnie kocha.

Isabel wyszła ze szpitala uśmiechnięta. Chciała jak najszybciej powiedzieć Rossowi, że kryzys w domu Derwentów zostanie wkrótce zażegnany. Wsiadła do samochodu i ruszyła przed siebie, ale nie ujechała

daleko. Zobaczyła Simona Stoddarda i zatrzymała się na wysokości przystanku autobusowego.

- Podwieźć pana? - zagadnęła. - Akurat jadę na farmę Derwentów.

- Ee... dziękuję - odparł lekko zaskoczony. - Z nieba mi pani spadła. Czekam i czekam, a autobusu jak nie było, tak nie ma.

Gdy wsiadał, przyjrzała mu się ukradkiem. Brian Derwent był o niebo przystojniejszy, jednak brodaty botanik robił wrażenie człowieka znacznie sympatyczniejszego i pogodniejszego.

Wysadziła go w pobliżu jego domu i pojechała dalej drogą przez wrzosowiska. Raptem ujrzała w dali dym i jęzory ognia. Na farmie Blackstock wybuchł pożar!

Przyśpieszyła tak ostro, że już po kilku minutach wysiadła z samochodu na podwórzu przed domem. Stojąca tuż obok wielka stodoła ginęła w płomieniach. Na otwartym strychu Isabel wypatrzyła ciemną sylwetkę. Brian!

- O mój Boże! - szepnęła. - On oszalał...

Wyskoczyła z auta i rozejrzała się, szukając dzieci. Błagam, niech będą gdziekolwiek indziej, wszędzie, byle nie na tym strychu, modliła się bezgłośnie, biegnąc w stronę stodoły.

Chciała szarpnąć za rygiel, lecz w ostatniej chwili ktoś objął ją ramieniem i odciągnął.

- Nie podchodź, Izzy. Ja po niego pójde! - usłyszała głos Rossa, przekrzykującego ryk płomieni.

- Co ty tu robisz? - odkrzyknęła. - I gdzie są dziewczynki?

- Nieważne, co tu robię, a dzieci zabrała matka Briana. Odsuń się, Izzy, spróbuj wyważyć te drzwi.

- Idę z tobą.
- Nigdzie nie idziesz! Jak chcesz pomóc, to wezwij strażaków, ale najpierw zatrzaśniesz za mną drzwi.

Naparł ramieniem na grube drewniane wrota, które uchyliły się opornie, i po chwili znikł w kłębach dymu.

Najchętniej pobiegłaby za nim, ale starała się być rozsądna. Domknęła drzwi i drżącymi palcami wybrała numer straży pożarnej.

Nagle go zobaczyła. Był na strychu przy Brianie i ciągnął go w stronę drabiny, ale farmer był odurzony dymem albo wcale nie chciał się ratować. Isabel patrzyła na nich sparalizowana ze strachu. W końcu Brian opadł ciężko na kolana, wtedy Ross dzwignął go i wzięwszy go na plecy, zniknął w płomieniach.

Boże, nie pozwól Rossowi zginąć, błagam, modliła się bezgłośnie. Tylko to jej pozostało...

Po kilku minutach, które zdawały się wiecznością, Ross chwycił się z płonącej stodoły i położył nieprzytomnego farmera na kamiennych płytach. Dostąpiła do nich ledwie żywa ze strachu.

Ross stał oparty o kamienną ścianę domu i ciężko oddychał. Włosy i brwi miał opalone, twarz purpurową z gorącą. Brian Derwent leżał nieruchomo.

Isabel pochyliła się nad nim i westchnęła z ulgą: wyczuła puls. Oddech miał świszczący, ale najważniejsze, że oddychał. Był w ogniu dłużej niż Ross i nawdychał się trującego dymu.

Połowę twarzy miał poparzoną. Zaledwie Isabel pomyślała o apteczce, Ross, zupełnie jak gdyby czytał w jej myślach, wychrypiął:

- W moim samochodzie.
- A samochód?

- Za domem.

Gdy zerwała się na nogi, Brian Derwent wydal cichy jęk. Równocześnie usłyszała ryk strażackich syren. Przyjechała też karetka i wysypali się z niej ratownicy, którzy natychmiast zajęli się Brianem.

Isabel podbiegła do Rossa, który wciąż stał przy ścianie, kaszląc i z trudem łapiąc oddech. Spojrzała w jego zaczerwienione oczy i oznajmiła:

- Zabierzemy się z Brianem. - Popatrzyła na strażaków, którzy walczyli z ogniem. - Nic tu po nas. Będą musieli poinformować o wszystkim jego matkę i dziewczynki, a na mnie spadnie przykry obowiązek powiadomienia Jean, że jej mąż najprawdopodobniej sam podpalił stodołę. Biedna kobieta, na pewno pomyśli, że to wszystko jej wina.

- Koszmar - wychrypiął Ross. - A najgorsze jest to, że on wcale nie chciał wyjść z tej stodoły. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby w końcu nie zasnął.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała łagodnie, pomagając mu podejść do karetki. - W życiu się tak nie bałam. Nie wiedziałam, czy jeszcze cię zobaczę.

- Ja chyba umarłbym ze strachu, gdybyś to ty była w środku - odparł z bladym uśmiechem, potem dodał poważnym tonem: - Miałaś rację. Zawiodłem tę rodzinę, może niejako lekarz, ale jako człowiek. Powinienem być wcześniej zauważyć, że Brian jest na skraj załamania nerwowego, że potrzebuje pomocy. Dlatego mnie tu zastałaś. Przyjechałem z nim porozmawiać, przekonać go, żeby przyszedł do gabinetu, to przepiszę mu jakiś środek antydepresyjny. Kiedy spytałem o dzieci, powiedział, że są u babci.

Potrząsnął głową.

- Wiesz, kiedy zaproponował mi kawę, naprawdę się ucieszyłem, że trochę mu lepiej. A potem jak ostatni osioł czekałem na tę kawę, a on wymknął się tylnymi drzwiami i pobiegł do stodoły. Trochę benzyny, jedna zapalka, no i stało się.

- Mogło skończyć się znacznie gorzej - zauważyła Isabel posępnie. - Wszystko mogło pójść z dymem. Całe szczęście, że dom ocalał, bo nie mieliby się gdzie podziąć.

Karetka ruszyła. Pomimo maski tlenowej Brian w dalszym ciągu oddychał z wielkim trudem, więc nie mógł mówić, zresztą Isabel nie była ciekawa, co mógłby mieć do powiedzenia. I to ma być facet, który kocha rodzinę?

Jedyne, co przemawiało na jego obronę, to fakt, że odesłał dzieci do babci. Isabel była na niego zła. Ross mógł przez niego zginąć, a ona miała nadzieję, że kiedyś to do Briana dotrze.

W chwili gdy karetka zajęchała przed oddział ratownictwa, w drzwiach ukazała się Jean z dziećmi oraz matka Briana. Isabel zawołała, by chwilę poczekały, a kiedy kobiety przystanęły zdziwione, podbiegła do nich, czując, jak zasycha jej w gardle.

- Właśnie przywieźliśmy Briana - oznajmiła.

- Co się stało? Miał wypadek? - przeraziła się Jean.

- Kiedy byłam po dzieci, wydawał się całkiem zdrowy - odezwała się jego matka, blednąc.

Isabel wzięła głęboki wdech.

- Uważamy, że usiłował popełnić samobójstwo. Zamknął się w stodole i podłożył ogień. Na szczęście doktor Templeton był akurat na miejscu i uratował go

w ostatniej chwili. Jean, źle się stało, że wcześniej nie powiedziałaś mężowi prawdy.

- Co on zrobił najlepszego! Mój biedny, głupi syn! - zaszlochała starsza kobieta.

Jean biegła już do karetki, z której właśnie wynoszono jej męża.

Brian został w szpitalu. Rano czekała go rozmowa z psychologiem, a potem wizyta policji.

Rossa przebadano i odesłano do domu. Isabel uparła się, że spędzi z nim resztę dnia. Chciała go mieć na oku.

Wrócili do gabinetu taksówką, gdyż oba samochody zostały na farmie. Isabel nie mogła ochłonąć, wciąż przypominała sobie wcześniejszą rozmowę z Jean, spotkanie z botanikiem i widok płomieni buchających w letnie niebo.

I jak w kalejdoskopie: obraz płonącej stodoły, postać na pełnym siana strychu, głos Rossa, ręce odciągające ją od drewnianych wrót stodoły.

Wszystko to było okropne, ale prawdziwy koszmar zaczął się w momencie, gdy Ross zniknął w kłębach dymu, a ona śmiertelnie przerażona pomyślała, że może go stracić.

- Zrobię coś do jedzenia - powiedziała, zaledwie weszli do pokoju nad gabinetem, choć najchętniej nie odstępowałaby go na krok. - Jestem strasznie głodna.

Ross pokiwał głową.

- Dobry pomysł. Też jestem głodny. Widocznie nagle wypadki zaostrzają apetyt.

- Nic nie mów. - Aż się wzdrygnęła. - Ten głupiec omal nie zrujnował życia całej swojej rodzinie i nie stracił własnego. Dziwne to wszystko. Jedni nie

radzą sobie z błahymi problemami, innych nie złamią nawet wielkie.

- I patrz, jak to się dziwnie złożyło. Jean wyszła ze szpitala dokładnie wtedy, kiedy myśmy przyjechali. Dosłownie parę minut i mogliśmy się minąć.

- Mieli ją wypisywać dopiero jutro, ale bardzo chciała wyjść wcześniej właśnie ze względu na Briana. Niestety, i tak o kilka godzin za późno. Naprawdę jej nie rozumiem, przecież dobrze go zna, nie powinna była go dodatkowo stresować. Ale cóż, co się stało, to się nie odstanie.

- Pocieszające jest to, że nie chciał narażać dzieci.

- Ale ciebie naraził!

- No niby tak. Z drugiej strony nie prosił, żebym za nim szedł, prawda? A gdybym zginął? - spytał nagle. - Co byś zrobiła? Chyba nie opłakiwałabyś mnie do końca swoich dni?

On wie, pomyślała. Wie, że go Kocham i w ten pokrętny sposób daje mi do zrozumienia, żebym o nim zapomniała.

Zaśmiała się nienaturalnie; w gardle ją ścisnęło.

- Nie poszłabym do klasztoru, jeśli to masz na myśli, ale na pewno nie zapomnielibym twojego heroicznego wyczynu - odparła niefrasobliwym tonem.

Otworzyła lodówkę i zaczęła studiować jej zawartość.

Kiedy Ross wyłonił się z łazienki, wykąpany i odświeżony, czekały na niego steki z grilla i warzywa. Przy jedzeniu rozmawiali na neutralne tematy: o remoncie gabinetu i meblach do jego mieszkania.

Słońce skryło się za horyzontem i zapadła noc. Dopiero teraz Isabel poczuła, jaka jest zmęczona. Posprzątała w kuchni i oznajmiła, że wraca do domu.

- Ledwie żyję - powiedziała - a mam jeszcze Tess i Kicię Kocię do nakarmienia. Nie chcę, żeby pomyślały, że je opuściłam.

- To nie leży w twojej naturze - odparł cicho. - A mało kto może to o sobie powiedzieć. Spij słodko w swoim pięknym domu nad rzeką, Izzy.

Nie chciał, by wychodziła. Pragnął, aby spędziła tę noc w jego ramionach... Musi jednak być cierpliwy.

- Myślisz, że zasnę po tym, co wydarzyło się u Derwentów? - westchnęła.

- Ja rozumiem, że się martwisz, ale żeby od razu nie spać po nocach...

- Łatwo ci powiedzieć - mruknęła od drzwi.

- Jadę z tobą - oznajmił. - Chcę, żebyś bezpiecznie dotarła do domu. Ale mam jedną prośbę, Izzy.

- Tak?

- Nie mów, jaka jesteś samodzielna i że nie potrzebujesz żadnej eskorty. W kółko to powtarzasz.

- Ale taka jest prawda.

Oparł palec na jej ustach.

- Ciii! Odtąd wieczorami odprowadzam cię do domu. Zrozumiano?

Widząc, że jej piękne fiołkowe oczy stają się szkliste od łez, spytał:

- Co się stało? Przepraszam, nie chciałem cię zdenerwować.

- To nie twoja wina - odparła, przelękając łzy. - Po prostu nie jestem przyzwyczajona do tego, że ktoś się o mnie troszczy. Dziwnie się z tym czuję.

Już niedługo będziesz musiała się do tego przyzwycząić, pomyślał. Już niedługo.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jadąc do pracy, Isabel wstąpiła na pocztę.

- W miasteczku aż huczy od plotek, jakoby Brian Derwent podpalił wczoraj własną stodołę - oznajmiła na jej widok Jess. - Że chciał popełnić samobójstwo, ale Ross Templeton go uratował.

- Tak, to prawda - przyznała skrepowana i milcząca, gdy Jess dopytywała się o szczegóły. - Skąd o tym wiesz?

- Wczoraj późnym wieczorem Ross był u swojej matki i opowiedział, co się stało. Taka tragedia, takie nieszczęście... Wszyscy wiemy, że z pieniędzmi zawsze było u nich krucho, ale przecież ktoś by im coś pożyczył, jakoś pomógł...

- Wcale nie poszło o pieniądze. Jean się rozchorowała i Brian po prostu się załamał. Zresztą moim zdaniem to był najzwyczajniejszy wypadek - skłamała Isabel. - Poszedł do stodoły z papierosem, nie zgasił go dokładnie, no i zaprószył ogień.

- Hm. Przypadkiem? - mruknęła Jess z rozczarowaniem w głosie. - No cóż, mniejsza o szczegóły, zawsze mówiłam, że to nieudacznik.

- Nie przesadzaj - odrzekła spokojnie Isabel. -Ma wspaniałą żonę i dwie piękne córeczki. Jean go wesprze. Może fizycznie jest od niego słabsza, ale psychicznie jest o niebo silniejsza.

Pożegnała się z Jess i pojechała do gabinetu. Ross już był na miejscu. Miał trochę nadpalone włosy oraz zaczerwienioną twarz, jednak poza tym wyglądał dobrze.

- Wyspana? - odezwał się na jej widok.

- O dziwo, tak. A ty?

- Uhm, spałem, chociaż kiepsko. Miałem kilka bardzo efektownych koszmarów. Przed chwilą dzwoniли z policji. Wybierają się tutaj.

- Nakłamałam Jess, że to był wypadek, że zaczęło się od niedopałka. Może głupio zrobiłam.

- Dobrze zrobiłaś, to utnie plotki. Ale policji musimy powiedzieć prawdę. Oczywiście zaznaczę, że pojechałem do niego, bo martwiłem się o jego zdrowie psychiczne. Ze był w głębokiej depresji i moim zdaniem nie powinien ponosić odpowiedzialności za swoje czyny. Mam nadzieję, że skończy się na wizytach u psychiatry.

- A co z jego farmą? - spytała z niepokojem.

- Sąsiedzi nareszcie będą mogli się wykazać. A propos sąsiadów, co z Jess? Faktycznie miała kamicę przewodów ślinowych? Byłem na poczcie i widziałem, że po obrzęku nie zostało ani śladu.

- Przeszła drobny zabieg, w szpitalu spędziła tylko jeden dzień. Powinno być już po sprawie.

- Też bym chciał takich pacjentów - rzekł ponuro, zerkając na zegar; dochodziło wpół do ósmej.

- Czemu? A co się stało?

- Znasz może właścicieli „Bazanta”? Chodzi o ich synka.

- Nie, są tu od niedawna. A co mu jest?

- Mały Jake to taki bystry dzieciak, po prostu

przemily, ale urodził się z poważną deformacją twarzy. Ma uszkodzoną żuchwę. Jego rodzice czują się bezradni, bo do tej pory nikt nie był w stanie doradzić im czegoś sensownego. Biedny malec musi jeść przez słomkę, ma problemy z mówieniem i amimicz-ną twarz.

Oczywiście rodzice chcą mu jakoś pomoc, ale nie wiedzą jak - ciągnął. - Opowiadałem im o nowym implancie, który jest na etapie testów. Mówię ci, to fantastyczna sprawa. Bodajże w Rosji wszczepiono go jakiemuś dziecku, dziewczynce, która miała usuniętą prawie całą żuchwę, i bardzo szybko zaczęła normalnie mówić, jeść i się śmiać. To brytyjsko-ro-syjski wynalazek. Polimer o strukturze plastra miodu, lekki, elastyczny, wytrzymały i, choć trudno w to uwierzyć, tani. Chyba nie muszę mówić, że rodzice Jake'a zapalili się do tego pomysłu. Obiecałem po-dzwonić, dowiedzieć się, co się da zrobić.

- Biedne dziecko - westchnęła. - Już być przeciętnym jest trudno, ale żyć ze zniekształconą twarzą... Koszmar.

Ross zerwał się zza biurka i zanim zdążyła zareagować, złapał ją za ramiona. W jego oczach płonął gniew.

- Już nie mam do ciebie cierpliwości, Izzy! - warknął. - Niedobrze mi się robi, kiedy słucham twojego wiecznego narzekania. Czego ty chcesz? Mam ci ciągle powtarzać, jaka jesteś piękna? Nieważne, że jesteś mądra i dobra, nieważne, że każdy normalny facet rozbiera cię wzrokiem. Jesteś biedna, bo nie podoba ci się twoja twarz?

Wpatrywała się w niego okrągłymi oczami, nie

pojmując, dlaczego jej niewinny komentarz tak bardzo go zirytował. Ross wciąż ścisnął ją za ramiona, lecz nie próbowała się uwolnić.

- Mam rozumieć, że ty do normalnych facetów się nie zaliczasz? - odparła chłodno.

- Och, jestem jak najbardziej normalny - wycodził przez zęby - ale i umiem uczyć się na błędach.

- W odróżnieniu ode mnie?

Słyszając w korytarzu czyjeś kroki, Ross puścił ją i powiedział zimno:

- Lepiej bierzmy się do pracy.

- Koniecznie - odparła równie chłodnym tonem i wyszła.

Ross był na siebie wściekły. Po co opowiada jakieś głupoty, zamiast powiedzieć Izzy, że dla niego jest po prostu doskonała? Dlaczego nie zamknął jej ust pocałunkiem?

Wracał do miasteczka pewny, że Izzy kogoś ma, i kiedy okazało się, że jest sama, wprost nie mógł uwierzyć swojemu szczęściu. Obiecał sobie, że będzie cierpliwy i spróbuje odzyskać jej zaufanie, nie wiedział tylko, że to będzie takie trudne. Chciał być przy niej na dobre i na złe, i wierzył, że tym razem im się uda. Zaprosił Izzy na kolację, a potem...

- ... bry, panie doktorze - powiedział Sam Shut-tleworth, powoli siadając na krześle.

Za młodu był śluzowym i rezydował przy jednym z dwóch kanałów przecinających miasteczko. Od niedawna mieszkał u córki, która prowadziła kwaciarnię.

Ross patrzył na jego ostrożne, wyważone ruchy i myślał o tym, jak niewiele trzeba, aby z dziarskiego osiemdziesięciolatka zmienić się w staruszkę, który z trudem porusza się o lasce.

Zamiast poczekać na zielone światło, Sam wtargnął na jezdnię na czerwonym i wpadł pod samochód. I tak miał sporo szczęścia, bowiem skończyło się na złamaniu kości piszczelowej, jednak dla kogoś w jego wieku każdy uraz jest groźny. Złamanie w końcu się zagoiło, jednak Sam nie odzyskał dawnej sprawności. Od niedawna dokuczał mu również artretyzm.

- Jak się dzisiaj czujemy? Trochę lepiej? - zagadnął Ross.

- Ani lepiej, ani gorzej - mruknął Sam. - Skończyły mi się tabletki, ale babsztyl w recepcji powiedział, że muszę się najpierw umówić z panem albo z doktor West.

- I słusznie. Musi się pan regularnie badać. Na początek zmierzę panu ciśnienie, osłucham serce i płuca. Ostatnio był pan u doktor West z jakąś infekcją?

- Ano. Mówiła o tamtym wypadku i ciągle powtarzała, że i tak mi się upiekło i żebym na przyszłość bardziej uważał. I że nie rozumie, jak mając tyle wolnego czasu, można się gdziekolwiek śpieszyć.

- I co jej pan odpowiedział? - spytał Ross, skrywając uśmiech.

- Że ciągle się gdzieś śpieszyłem, do pubu, do domu na film, różnie. Tego dnia Emma, moja córka, posłała mnie do warzywniaka, zanim zdążyłem przeczytać poranną gazetę. Nie lubię, żeby mi ktoś prze

szkadzał, dopóki jej nie przeczytam od deski do deski, więc śpieszyłem się do domu.

- Co skończyło się dość niefortunnie.

- Ano. Niech mi pan doktor nie przypomina. Zbada mnie pan w końcu czy nie? - odparł z rozdrażnieniem.

Ross pomyślał, iż poczciwy Sam nie jest może taki sprawny jak kiedyś, za to z pewnością jeszcze bardziej niecierpliwy.

Kiedy pożegnał się z upartym starszym panem, przyszli rodzice Jake'a.

- I co się udało załatwić? - spytał, gdy chłopczyk usiadł na podłodze i bawił się przyniesioną z domu zabawką.

- Niewiele - odparł ojciec chłopca. - Wszystko trwa znacznie dłużej, niżbyśmy sobie tego życzyli.

- To zrozumiałe, w końcu implant jest dopiero w fazie eksperymentalnej. Najważniejsze, żeby Jake trafił na listę kandydatów do operacji. Najwyżej zabiorą go państwo do Rosji i zapłacą za zabieg z własnej kieszeni.

- Pojechalibyśmy z nim i na koniec świata, gdyby dzięki temu jego życie mogło stać się łatwiejsze - odezwała się jego matka. - A jeśli przyjdzie zapłacić za operację, jakoś zdobędziemy pieniądze. Konsultant, do którego nas pan skierował, robi, co może, żeby nam pomóc. Zbadał Jake'a i twierdzi, że mały jest idealnym kandydatem do wszczepienia implantu, ale najpierw musimy przebrnąć przez morze biurokracji.

- Bez względu na to, czy go zakwalifikują, czy nie, nigdy nie zapomnimy, że dzięki panu odzyskaliś

my nadzieję - rzekł cicho ojciec Jake'a. - Przyjedziemy do pana, jak tylko dostaniemy oficjalną odpowiedź. Wszędzie szukaliśmy dla niego pomocy i wszędzie nam mówiono, że nie da się zrobić. Dzięki panu nasz syn wreszcie ma jakąś szansę.

- Jake to nasze jedyne dziecko i bardzo go kochamy - wyznała matka chłopca, patrząc, jak spokojnie się bawi. - Miałam bardzo ciężki poród i czuję się tak, jak gdyby to była moja wina.

- Niepotrzebnie, tu nie ma niczyjej winy - odparł Ross łagodnie. - Specjalista, do którego państwa posłałem, należy do najlepszych w tej dziedzinie. Poruszy niebo i ziemię, żeby Jake trafił na listę oczekujących.

- Niedługo się do niego wybieramy, mamy nadzieję, że będzie już coś wiedział - oznajmił ojciec Jake'a.

- Trzymam za państwa kciuki. Tylko proszę pamiętać, gdyby mimo wszystko Jake miał być operowany w kraju, niech państwo wypytają lekarzy o wszystkie szczegóły. To nie jest rutynowy zabieg. Gdyby mieli państwo jakieś wątpliwości, zawsze chętnie służę pomocą.

Po ich wyjściu nie od razu poprosił następnego pacjenta. Znowu rozmyślał o Izzy. Może zamiast na nią krzyczeć, powinien był jej najzwyczajniej wysłuchać, powiedzieć, że zawsze może na niego liczyć. Nie sądził, aby po jego ostatnim występie miała ochotę go znowu widzieć, a co dopiero z nim rozmawiać.

Może jej opowie, co u Jake'a? Widział, jak bardzo przejęła się losem tego małego pacjenta, poza tym

lekarze zawsze śledzą ostatnie nowinki w medycynie, a ten implant to prawdziwa sensacja. Wcześniej, kiedy patrzył na bawiącego się chłopczyka, zastanawiał się, jak by to było, gdyby Jake był ich synem, jego i Izzy. Na pewno cierpieliby, widząc, że cierpi ich dziecko, a oni nie mogą mu pomóc, choć takie berbecie często są dzielniejsze w obliczu choroby niż cała gromada dorosłych.

Przed gabinetem stał radiowóz. Ciekawe, co Ross powie policji, zastanawiała się Isabel. Z pewnością prawdę, przedstawioną w taki sposób, aby umniejszyć rolę, jaką Brian Derwent odegrał w tej tragedii, lecz zarazem pozwalającą policjantom trafnie ocenić, czy i jakie zagrożenie dla żony i dzieci stanowi cierpiący na depresję mężczyzna. Miała nadzieję, że sama nie będzie musiała zeznawać, dopóki nie porozmawia z Rossem, lecz jeśli już, to powie prawdę i podkreśli, że szpital zalecił Brianowi opiekę psychiatryczną.

Oczywiście zamierzała przy pierwszej okazji pomówić z Jean i zaproponować swoją pomoc, jednak będzie mogła to zrobić dopiero po skończeniu wizyt. Do tego czasu postara się skoncentrować na pracy i nie myśleć o wczorajszym wybuchu złości Rossa.

Przecież nie użalała się nad sobą, lecz zwyczajnie stwierdziła fakt. A jeśli pomyślał, że dopraszała się o komplement i pochwalił jej figurę tylko dlatego, że na temat twarzy wołał się nie wypowiadać?

Kiedy zobaczyła, że Ross stoi w drzwiach, straciła resztkę nadziei na to, iż uniknie rozmowy z policją.

Dwoje policjantów podniosło się z krzesel.

- Mamy kilka pytań na temat pożaru na farmie Blackstock, jeśli pani doktor pozwoli - rzekł posterunkowy.
- Z doktorem Templetonem już rozmawialiśmy. Teraz kolej na panią.

- Nie wiem, co mogłabym dodać - odparła gładko. - Jak z pewnością mówił państwu mój kolega, od tygodnia czy dwóch martwiliśmy się o Briana Der-wenta. Miał kłopoty na farmie, a potem doszły problemy osobiste. Był przekonany, że żona chce od niego odejść i tego już nie wytrzymał. Ma skłonności depresyjne. Oboje z kolegą uważamy, że nawet jeśli sam wywołał ten pożar, to działał w stanie silnego wzburzenia. Jesteśmy przekonani, że teraz, kiedy już wie, że żona wciąż go kocha i nie zamierza się z nim rozwodzić, jego stan się poprawi. Zresztą zniszczył tylko swoją własność i nikt przy tym nie ucierpiał.

- Istotnie - podchwycił posterunkowy cierpko - ale gdyby nie pani kolega, mogłoby dojść do tragedii. Wyślemy raport szefowi okręgu.

- Jest pan niezwykle odważny - odezwała się młoda i ładna policjantka z przesadnym, zdaniem Isabel, podziwem.

Ross uśmiechnął się do niej.

- Szczęśliwie akurat byłem na miejscu. Chciałem skłonić Briana, żeby przyszedł do gabinetu, tak abym mógł przepisać mu odpowiednie leki.

- A pani skąd się wzięła na farmie? - zagadnął posterunkowy tym samym co wcześniej cierpkim tonem.

- Jechałam drogą przez wrzosowiska i zobaczyłam, że coś się pali.

Policjant rozpiął guzik pod szyją i odłożył notes.

- Widzę, że Brian Derwent to prawdziwy szczęściarz. Wszyscy okoliczni lekarze spotkali się na jego posesji. Sam mieszkam w śródmieściu i ściągnięcie lekarza na wizytę domową jest równie łatwe, jak wyciśnięcie wody z polnego kamienia. Ale żeby przyjechali niewzywani? - Spojrzała na swoją towarzyszkę. - Chodź, Jackie. Mamy wszystkie potrzebne informacje.

Młoda policjantka z żalem oderwała wzrok od Rossa i poszła za kolegą do poczekalni. Isabel i Ross spoglądali na siebie w ciszy.

- Mam nadzieję, że moje zeznanie zbytnio nie różni się od twojego.

- Wcale się nie różni. Byłaś nad wyraz przekonująca - odparł z uśmiechem, który z każdą chwilą stawał się weselszy. - Zresztą przecież żadne z nas nie kłamało. Po prostu chcieliśmy pomóc Derwentom i podsunęliśmy policji naszą interpretację zdarzeń. Nawet jeśli nie postawią mu zarzutów, i tak będzie miał masę kłopotów. Strażacy mogą go obciążyć kosztami akcji gaśniczej, psychiatra może uznać, że wymaga opieki w zakładzie zamkniętym.

- Wybiorę się do nich po ostatniej wizycie domowej. Martwię się o Jean, chcę się dowiedzieć, jak sobie radzi.

Ross skinął głową.

- Masz jakieś plany na dzisiejszy wieczór? - spytał po chwili.

W fiołkowych oczach mignął wyraz zaskoczenia.

- A co? - spytała chłodno, choć serce omal nie wyskoczyło jej z piersi.

- Chciałbym cię zaprosić na kolację.

- Czemu?
- Czy człowiek zawsze musi mieć jakiś powód?
- Owszem, jeśli ten człowiek to ty albo ja.
- Dobrze. Powiedzmy, że chcę ci podziękować za to, jak mnie wspierasz w ostatnich tygodniach - stwierdził pół żartem, pół serio. - Na pewno nie było ci łatwo.

- Oj, nie było - przyznała, nie rozwijając tematu. Przecież nie powie, że wyrzucił jej świat do góry nogami, że nigdy nie przestała go kochać. Ze młodzieńcze zauroczenie, o którym chciała zapomnieć, okazało się najprawdziwszą, szczerą i dojrzałą miłością. Chyba umarłby biedaczek ze strachu i tyle by go widziała.

Spoglądał na nią spod uniesionych brwi.

- Więc jak, jesteśmy umówieni?
- Tak - odparła spokojnie. - Chętnie wybiorę się do restauracji. Gdzie chcesz mnie zabrać?

Może gdyby odpowiedział szczerze: „Do łóżka.”, nie byłaby taka irytująco spokojna? - pomyślał, lecz powiedział tylko:

- Sophie wspominała o nowej restauracji przy drodze na wzgórze. Podobno jest świetna. Może tam?

Wzruszyła ramionami.

- Dobrze, wszystko mi jedno, byle nie za wcześnie. Muszę wziąć prysznic, przebrać się, nakarmić zwierzaki i pozmywać po śniadaniu.

- Widzę, że nie możesz się doczekać naszej randki - stwierdził z westchnieniem. - Na pewno nie chcesz jeszcze umyć okien albo skosić trawnika, zanim się spotkamy?

Przypomniał sobie minę Sophie, gdy spytał o jakąś romantyczną restaurację.

- Czemu? A kogo chcesz zaprosić? - ożywiła się. - Mam nadzieję, że Isabel West, tylko lepiej żebyś znowu wszystkiego nie spaprał. Miło byłoby doczekać się jakichś wnuków, zanim zejdziemy z twoją matką z tego świata.

- Ejże, nie rozpędzaj się tak, Sophie! - zaśmiał się Ross.
- Spytałem tylko, gdzie można dobrze zjeść, oczywiście pomijając waszą fantastyczną herbaciarnię.

- Wstydz się! - zachichotała. - Myślisz, że nie wiem, kiedy mi ktoś kadzi? A co do Isabel, nie zastanawiaj się zbyt długo, chłopcze. Nie będzie na ciebie czekała w nieskończoność. Któregoś dnia pojawi się jakiś typek i sprzątnie ci ją sprzed nosa.

- A skąd pomyśł, że Izzy wpadła mi w oko?

- Może stąd, że jeszcze nie jestem ślepa - fuknęła Sophie. - Na wzgórzach jest nowa restauracja, ponoć bardzo przyjemna. To dawna stodoła, wyremontowana i urządzona bardzo gustownie, no i położona w malowniczej okolicy.

- W którym to miejscu?

- Niedaleko Kamienia Kochanków.

- A co to? I gdzie to jest? Pierwsze słyszę.

- Widocznie kiedy ostatnio tu byłeś, nie myślałeś o amorach - odrzekła wesoło. - To duży czarny kamień na środku wrzosowiska. Nikt nie wie, skąd się tam wziął. W niczym nie przypomina tutejszych wapieni. Legenda głosi, że para, która się pocałuje, równocześnie dotykając tego kamienia, już zawsze będzie razem.

Ten pomysł od razu mu się spodobał.

Izzy. Wspomnienie tej kobiety nie dawało mu spo

koju przez siedem długich lat. Nie mógł sobie wybaczyć, że w porę nie zauważył, co się dzieje w sercu młodej, wrażliwej dziewczyny, i czuł się tak, jak gdyby ją skrzywdził.

Zawsze podobał się kobietom, jednak dotychczas nie spotkał takiej, która przyprawiłaby go o szybsze bicie serca, i młodzieńca córka Paula Westa nie stanowiła tu żadnego wyjątku. Mimo że dręczyły go wyrzuty sumienia, w gruncie rzeczy nie planował powrotu do miasteczka. Dopiero gdy otrzymał list od Paula, zrozumiał, jak bardzo chciał zobaczyć Izzy. Uświadomił sobie, że wciąż pamięta o zapłakanej dziewczynie, która nie chciała pozwolić mu odejść. I nagle pojął, dlaczego przez tyle lat nie chciał nawet słyszeć o żadnym poważniejszym związku. Powodem była pewna jasnowłosa kobieta, kompletnie nieświadoma, jakie spustoszenia sieje w jego sercu.

- Zarezerwuję stolik w restauracji, którą poleciła mi ciotka Sophie - rzekł, spoglądając na Isabel. - Nowy właściciel zrobił knajpkę ze starej stodoły.

- Brzmi ciekawie. O ósmej?
- A zdążysz ze wszystkim?
- Spokojnie.
- Zatem o ósmej... Izzy? Naprawdę się cieszę. Isabel uśmiechnęła się promiennie.
- Ja też - odparła miękko.

Było popołudnie, gdy przejeżdżała obok pogorzelniska. Wzdrygnęła się, patrząc na osmalone resztki, jakie pozostały po solidnej drewnianej konstrukcji.

Wiedziała, że wspomnienie chwili, gdy Ross znikł w kłębach dymu, nie przestanie jej prześladować do końca życia.

Biedna Jean, pomyślała ze współczuciem. Ledwie wyszła z zapalenia płuc, a tu mąż w szpitalu. Zastukała do drzwi.

' Jean była blada jak płótno, ale wydawała się spokojna. Na ustach miała cień uśmiechu.

- Isabel - powiedziała cicho. - Wejdz, proszę. Teściowa pojechała odebrać dzieci ze szkoły, więc będziemy same.

- Co z Brianem? - spytała Isabel, siadając na masywnym drewnianym krześle.

- Zatrzymali go na obserwację. Ma poparzoną twarz, ale na szczęście niezbyt poważnie. Znacznie gorzej jest z jego formą psychiczną. Wiesz, jaki on jest. Wszystko w sobie dusi, a potem nagle wybucha, ale nawet przez myśl mi nie przeszło, że może posunąć się do czegoś takiego. Mam poczucie, że to moja wina. Powinnam mu była od razu powiedzieć, że nie chcę od niego odejść, ale tak mi ostatnio dokuczał, że chciałam nim jakoś wstrząsnąć. No i jeszcze to moje zapalenie płuc. Może gdybym nie czuła się tak fatalnie, postąpiłabym inaczej, ale stało się i teraz oboje będziemy za to płacić.

Milczała chwilę, potem uśmiechnęła się do Isabel.

- Ale są i dobre wiadomości. Teściowa odłożyła trochę grosza i zaproponowała, że sfinansuje remont stodoły, może nawet wejdzie w spółkę z Brianem, więc już nie musiałby wечно zamartwiać się o pieniądze. Byłam u niego dziś, ale nic nie pamięta.

Uwierzy, jak wróci i zobaczy tę ruinę. Oboje jesteśmy po rozmowie z policją.

- W gabinecie też już byli - dodała Isabel. - Staraliśmy się z doktorem Templetonem mówić jak naj-ogłędniej, ale nie możemy kłamać.

Jean z westchnieniem pokiwała głową.

- Czasami żałuję, że kupiliśmy tę farmę, ale stało się, a teraz, kiedy matka Briana chce nam pomóc, powinno nam być dużo łatwiej. Pomogłaby znacznie wcześniej, gdyby wiedziała, jak nam ciężko, ale mój mąż jest taki dumny, że oczywiście nie powiedział ani słowa.

Wracając krętą drogą do miasteczka, Isabel zauważyła Millie z psem. Zatrzymała samochód i spytała, czy nie podwieźć jej do domu.

- Oj, tak - ucieszyła się Millie. - Byliśmy z Hul-tajem na bardzo długim spacerze i moje stopy zaczynają powoli protestować.

Kiedy psiak siedział już na tylnej kanapie, zajęła miejsce przy Izzy i powiedziała:

- Twój ojciec od lat nie był taki szczęśliwy jak teraz, Isabel.

- Cieszy się z przeprowadzki?

- Cóż, to też - przyznała Millie. - Ale znacznie bardziej cieszy go co innego.

- Nie mam pojęcia co - odparła Isabel sucho. - Chyba że mówisz o urokach emerytury. Koniec wypisywania recept, koniec męczenia się ze stetoskopem.

Millie udała, że nie zauważa jej ironicznego tonu.

- Mówię o tym, jak dobrze się z Rossem dogadujecie. Nie zastanawiałaś się, czemu ojciec pomyślał akurat o nim?

- Miałam wrażenie, że szukał kogoś zaufanego i doświadczonego - odparła ostrożnie.

- To też - przytaknęła Millie - ale przede wszystkim ze względu na ciebie.

- Na mnie? - zachnęła się Isabel. - A to dobre! Czy dawałam mu jakiekolwiek powody do niepokoju?

- Martwił się o ciebie, ponieważ od wyjazdu Rossa nie związałaś się z żadnym mężczyzną, i zaczął się obawiać, że rozdzielenie was było błędem. Choć wtedy uważał, że postępuje słusznie.

Coś podobnego, pomyślała Isabel, wpadając w złość. Czy ten stary zarozumialec sądzi, że może kazać im się rozstać, a potem znowu zejść, bo on ma takie widzimisię?

Aha! Boi się, że jego córka zostanie starą panną, więc podsuwa ją Rossowi. Twarz zapłonęła jej ze wstydu. Czy Ross wie o planach ojca? Pochlebia sobie, że jest jej ostatnią szansą na zamążpójście? Zrobiło jej się słabo.

Gdy dojechały na miejsce, Millie odezwała się niepewnie:

- Może byłoby lepiej, gdybyśmy zachowały tę rozmowę w tajemnicy?

- Żeby ojciec mógł sobie schlebiać, że w dalszym ciągu dyryguje moim życiem? - nie wytrzymała Isabel. - A tak się cieszyłam, myślałam, że wreszcie wyrwałam się spod jego wpływów, że nie może mną dłużej rządzić, i czego się dowiaduję? Że teraz knuje, jak wydać mnie za tego samego człowieka, którego wcześniej na siłę stąd usunął? Ross wie, jak ojciec chce go urządzić?

- Nie mam pojęcia - odparła zdenerwowana Mil-lie. -
Nie sędzę, ale Ross nie jest głupi.

- To prawda - przyznała Isabel lodowato. - Odnoszę
wrażenie, że w tych stronach tylko jedna osoba wychodzi na
głupią. Ja!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wściekła i rozżalona włożyła klucz do zamka. Znowu z niej zakpiono, pomyślała z rozpaczą i łzy napłynęły jej do oczu. W uszach dźwięczały jej słowa Miłlie i wiedziała, że jeśli chce zachować bodaj resztkę godności, powinna za każdą cenę unikać Rossa. Chyba że jest na to za późno, może już się domyślił, że ona go kocha. I co wtedy?

Cóż. Po pierwsze, odwoła dzisiejszą kolację i nigdy więcej się z nim nie umówi. Odtąd będzie zachowywała się tak, aby nikt - ani Ross, ani ojciec - nie mogli się domyślić, co ona czuje.

Może powinna odejść z praktyki? Nie, nie odejdzie, chociaż może tak byłoby lepiej, może ojciec nareszcie by zrozumiał, że nie wolno bezwstydnie manipulować czyimś życiem. Nie podda się. Kocha ten gabinet i nie zamierza go opuszczać. Jakoś sobie poradzi.

Ross nie jest głupi. Co miał pomyśleć, kiedy wrócił do miasteczka i zastał ją w takiej samej sytuacji jak przed swoim wyjazdem, bez męża czy kochanka, jak gdyby wciąż usychała z tęsknoty za nim? Ciekawe też, jak by zareagował, gdyby mu powiedziała, jakie plany względem jego osoby ma jej ojciec?

Ross nie da sobą manipulować, zresztą ona także. Duma by jej na to nie pozwoliła. Mimo to, gdy

stawiała pełne miseczki przed Tess i Kicią Kocią, szlochała, jak gdyby miało jej pęknąć serce.

Gdy zwierzaki się najadły, włożyła miski do zlewu. Trudno, zmywanie musi poczekać. Najpierw zadzwoni i odwoła randkę, zanim Ross stanie w jej drzwiach, uśmiechając się tak, jak tylko on potrafi.

- Cześć - odezwał się głos w słuchawce. - Jeśli chcesz się pochwalić, że jesteś już gotowa, to muszę ci sprawić zawód. Jeszcze sprzątam po malarzach.

- Nie, dzwonię w innej sprawie - powiedziała glucho. - Wszystko sobie przemyślałam i doszłam do wniosku, że jednak nie powinniśmy się spotkać. To nie był dobry pomysł. Myślę, że wystarczy, że widzimy się w pracy.

Zapadła cisza.

- Zaskoczyłaś mnie - rzekł powoli. - Mogę spytać, czemu zmieniłaś zdanie?

- Bez powodu - odparła, siląc się na spokojny ton. - Powiedzmy, że tak długo dawałam się tyranizować ojcu, że teraz bardzo sobie cenię niezależność.

- A co to ma ze mną wspólnego? - spytał zdziwiony. - Proszę cię. Chyba nie myślisz, że jestem taki sam jak on?

- Tu nie chodzi o ciebie.

Kłamstwo. Ross jest jedynym człowiekiem na całym świecie, na którym jej zależy, ale nie zniosłaby jego litości. Nie chciała, aby czuł się przyparty do muru albo do czegoś zmuszany.

- Zaraz u ciebie będę - oświadczył.

- Szkoda twojego czasu. Nie zastaniesz mnie.

- Gdzieś się wybierasz?

- Może pójdę do kina.
- Zamiast na kolację ze mną?
- Już ci mówiłam, Ross. Za bardzo cenię swoją niezależność.
- W porządku. I będziesz ją miała! - rzucił gniewnie i szybko się rozłączył.

Co ją ugryzło? - pomyślał rozdrażniony, kończąc sprzątanie gabinetu. Wprawdzie nie wpadła w zachwyt, kiedy zapraszał ją na kolację, ale był przekonany, że w głębi duszy cieszyła się na myśl o wspólnym wieczorze. Widział, jak te piękne fiołkowe oczy zabłyśły, gdy o tym rozmawiali.

Coś się wydarzyło i zamierzał dowiedzieć się co. Nie sądził, aby to miało jakiś związek z Paulem. Co prawda był on pierwszą osobą, jaka przychodziła Rossowi do głowy, gdy zastanawiał się, kto mógł wyprowadzić Izzy z równowagi, niemniej odkąd Paul przeszedł na emeryturę, nie próbował się do niczego wtrącać.

A może Izzy najzwyczajniej boi się zaangażować?

Kiedy rano spotkali się w gabinecie, Ross odnosił się do niej z lodowatą uprzejmością. Isabel czuła się z tym źle i zaczęła powątpiewać, czy długo wytrwa w swoim postanowieniu, aby trzymać się na dystans.

Uważała, że powinna uczciwie wyjaśnić mu sytuację, ale prawda nie chciała jej przejść przez gardło. Miałaby powiedzieć, że ojciec ściągnął go do miasteczka, bo upatrzył go sobie na zięcia? Chyba umarłaby ze wstydu.

Atmosfera, jaka panowała tego ranka, stała się

normą. Isabel coraz częściej myślała o zmianie pracy, jednak za każdym razem powtarzała sobie, że tutaj jest jej miejsce i pomysł ten odrzucała. Odkąd odbyła z Millie tamtą pamiętną rozmowę, ojciec nie pokazał się w przychodni. Nie sądziła, aby przyjaciółka pochwaliła mu się, jaka okazała się niedyskretna, a dla Isabel był to przykry temat i po prostu nie czuła się na siłach, aby pójść do ojca i przeprowadzić z nim szczerą rozmowę. Jednak kiedyś się na to zdobędzie, oczywiście pod nieobecność Rossa, i jasno mu powie, co o tym wszystkim myśli.

Koniec końców policja nie postawiła Brianowi Derwentowi żadnych zarzutów. Psychiatra, który badał go w szpitalu, orzekł, że można będzie wkrótce go wypisać, o ile pozostanie pod opieką poradni -psychiatrycznej.

- Na wszystko bym się zgodził, byle stąd wyjść - powiedział Brian, gdy Isabel odwiedziła go w szpitalu. - Najważniejsze, że Jean wciąż mnie kocha. Moja matka obiecała, że pomoże nam finansowo, i przestałem widzieć przyszłość w samych czarnych barwach. A wie pani, że do tej pory nie podziękowałem doktorowi Templetonowi za to, że uratował mi życie? I ocalił mnie przed szaleństwem.

Przytaknęła, choć Ross nie opowiadał jej o swoich sprawach. Od pewnego czasu niemal w ogóle nie rozmawiali.

Zmieniło się to dopiero w dniu, gdy czekał na informacje w sprawie Jake'a. Nie musiał jej mówić, że jest zdenerwowany; wiedziała, że trzyma kciuki,

aby malec zakwalifikował się do operacji, i martwi się o małego Jake'a niemal tak bardzo jak jego rodzice.

Gdyby nie to, czego dowiedziała się od Millie, mogłaby z nim porozmawiać, próbować dodać mu otuchy. Niestety, chłód, jaki wkrał się w ich wzajemne relacje, nasilał się w takim tempie, że zaczynała poważnie się obawiać, iż wkrótce ograniczą się do zostawiania sobie na biurkach krótkich służbowych notatek.

Równie szybko zmieniała się jej figura, którą Ross kiedyś chwalił, bowiem Isabel kompletnie straciła apetyt. Oczy - jedyne, co jej się w sobie podobało - stały się zgaszone i bez życia.

Z Millie więcej się nie widziała. Podejrzewała, że przyjaciółka ojca jej unika, i wcale jej się nie dziwiła. W pewnym sensie była jej nawet wdzięczna. Z niezrozumiałych dla Izzy przyczyn Millie była zapatrzona w Paula Westa, czuła się szczęśliwa tylko wtedy, gdy i on był szczęśliwy. Chciała podzielić się z jego córką czymś, co sprawiło mu radość, i równocześnie ostrzegła ją o jego planach.

Tymczasem Ross był coraz bardziej posepny, a Isabel miała coraz większe wyrzuty sumienia. Powinna go wspierać. Przecież go kocha, to, co go martwi, martwi i ją. Wiedziała, że jej teraz potrzebuje i czuła się bezduszna, odmawiając mu wsparcia. Po południu uprzedziła recepcjonistkę i zaniósła mu do gabinetu kubek kawy.

- Super! - ucieszył się na jej widok. - Czyżbym wrócił do łask? Mam nadzieję, że nie zagroziłem twojej niezależności?

- Jeśli zamierzasz być uszczypliwy, to zaraz sobie pójdę - odparła sucho. - Zajrzałam do ciebie, bo pomyślałam, że dopóki nie zadzwonią rodzice Jake[^], będziesz siedział jak na szpilkach.

- I miałaś rację - odparł. - W takich momentach człowiek zdaje sobie sprawę z tego, co jest w życiu najważniejsze. Małostkowe pretensje to nic w obliczu choroby dziecka.

- Teraz dowiaduję się, że jestem małostkowa - stwierdziła ze smutkiem. - Zresztą wcale się nie dziwię, że tak myślisz. Mogę tylko powiedzieć, że nie zachowywałabym się tak, jak się zachowuję, gdybym nie miała do tego powodu, Ross.

- Myślałem, że jesteście przyjaciółmi.

- Czy kiedykolwiek powiedziałam, że nie jesteście?

- Czyny znaczą więcej niż słowa.

- Przykro mi, jeśli poczułeś się urażony.

- Co ty możesz w ogóle wiedzieć o moich uczuciach, Izzy?

- Pewnie nic - odparła cicho.

Miała tylko nadzieję, że on to samo może powiedzieć o niej, że jej uczucia także są dla niego zagadką.

Chyba umarłaby ze wstydu, gdyby dowiedział się, że ona wciąż go kocha, że zawsze będzie miłością jej życia, tym jedynym wymarzonym, i jeśli nie mogą być razem, to już woli być sama. Ze tych kilku mężczyzn, którzy przewinęli się przez jej życie, nie miało żadnych szans, bowiem najzwyczajniej ich nie chciała.

Telefon zaczął dzwonić. Ross odebrał go błyskawicznie i słuchał z coraz pogodniejszą miną.

- Udało się, Izzy! - oznajmił radośnie, zaledwie

skończył rozmowę. - Mały Jake zakwalifikował się do operacji. Jeszcze nie wiadomo, kiedy to będzie, ale jest na liście oczekujących.

Odwzajemniając uśmiech, *pomyślała, że może* cierpi na własne życzenie. Może powinna przelknąć dumę i postawić wszystko na jedną kartę, otwarcie mu wyznać, że jest w nim zakochana, ale się nie odważyła.

- To dobra wiadomość - powiedziała spokojnie. - Na pewno poprawi ci humor. I wróciła do swojego gabinetu.

Leniwie mijały dni, złote lato powoli dobiegało końca. Isabel coraz częściej spędzała wieczory w ogrodzie z Tess i Kicią Kocią, oglądając bajeczne zachody słońca i tęskniąc za Rossem bardziej, niż potrafiłaby to sobie wyobrazić. Jednak od tęsknoty gorszy był strach przed odrzuceniem, w jej życiu po raz trzeci. Najpierw odtrącił ją ojciec, który nie potrafił jej kochać, ponieważ przeżyła jego uwielbianą żonę, potem Ross, który wolał przed nią uciec, niż ją kochać.

Była świadoma, że nie wyprowadziłby się z miasteczka, gdyby nie groźby jej ojca i troska o nią, lecz była to tylko troska, a nie miłość. I nie wydarzyło się nic, co dawałoby nadzieję, że jego uczucia uległy zmianie.

Któregoś wieczoru, gdy siedziała w ogrodzie, rozmyślając o Rossie, usłyszała jakiś szmer i spojrzała w *stronę* furtki. Nie mogła uwierzyć własnym oczom, lecz to naprawdę był on. W gasnącym świetle dnia jego twarz wydała się jej bladejsza niż zwykle i bardzo smutna.

- Co się stało? - spytała, podnosząc się powoli.
- Godzinę temu umarła moja matka - rzekł ochryple.
- Och, nie! - jęknęła Isabel. - To niemożliwe!
- Niestety, to prawda.
- Chodź do mnie - powiedziała miękko, wyciągając do niego ramiona.

Podszedł bez wahania, a kiedy go objęła, zaczął płakać.

- Jak to się stało? - spytała, gdy lzy przestały płynąć mu po policzkach.

Podniósł na nią zaczerwienione oczy, ale nie był w stanie mówić. Isabel wzięła go za rękę i zaprowadziła do salonu. Usiadł ciężko na kanapie i zaczął opowiadać:

- Zadzwoiła do mnie Sophie i powiedziała, że znalazła mamę na podłodze w łazience, że to chyba udar. Powiedziałem, żeby dzwoiła po karetkę, i wskoczyłem do samochodu. Jechałem chyba z prędkością światła, ale i tak nie zdążyłem. Już nie żyła. Nawet nie mogłem się z nią pożegnać, powiedzieć, jak bardzo ją kocham.

- Nie musiałeś nic mówić. Sally zawsze to wiedziała - odparła Isabel z przekonaniem. - Wróciłeś do niej, chciałeś przy niej być.

- To prawda. Ale to nie był jedyny powód. Wciąż nie mogła uwierzyć, że Sally nie żyje.

- No ale udar? Miała nadciśnienie?

- Nie, wszystko było w normie, sam jej mierzyłem. Ale wiesz, jak to jest z ciśnieniem, potrafi skakać z byle powodu. - Wstając, dodał z wahaniem: - Muszę już iść, Izzy. Trzeba się wszystkim zająć,

pozałatwiać formalności. Oczywiście nie podpiszę aktu zgonu, to moja matka. Ciebie chciałbym o to poprosić, a o drugi podpis poproszę Jima Danversa. -Delikatnie dotknął jej policzka. - Dziękuję ci, Izzy. I przepraszam, że cię nachodzę w twoim małym schronie. Wiem, jak cenisz swoją niezależność.

- Nie mów tak! - poprosiła bliska łez. - Żałuję, że to wtedy powiedziałam. To było pompatyczne i banalne. Bałam się, że znowu się ośmieszę i nie zastanawiałam się nad tym, co mówię.

Uśmiechnął się blado.

- W ten czarny dzień wniosłaś w moje życie promyczek słońca. Dobranoc, Izzy. Zobaczymy się jutro.

Nie odeszła od okna, dopóki sylwetka Rossa nie zniknęła jej z oczu. Była smutna z powodu Sally, była pełna współczucia dla Rossa. Do niej przyszedł ze swoim smutkiem, więc może jednak wciąż jest dla nich jakaś nadzieja?

Przez następny tydzień Isabel prawie nie widywała Rossa. Był zajęty przygotowaniem do pogrzebu, sprawami spadkowymi oraz prowadzeniem gabinetu i na nic innego już nie starczało mu czasu. Isabel czekała na jakiś znak z jego strony, lecz pomijając tamtą wieczorną wizytę, Ross zachowywał się tak, jak gdyby byli sobie obcy.

Co prawda powiedział, że wniosła w jego życie promyczek słońca, lecz może nie przywiązywał do tych słów takiego znaczenia, jakie przypisała im ona. Może tylko łudzi się, że on darzy ją uczuciem. Owszem, to do niej przyszedł ze swoim bólem, ale przecież po śmierci matki z rodziny została mu tylko

Sophie, która także musi uporać się ze swoim cierpieniem.

W ciągu tego tygodnia był u niej tylko raz, drugiego dnia po śmierci Sally.

- Oczywiście będziesz na pogrzebie. Jeśli się zgodzisz, chciałbym, żebyś pojechała pierwszym samochodem, z Sophie i ze mną.

- Ja? - spytała. - Przecież nie należę do rodziny. Była wzruszona, że Ross chce ją mieć przy sobie, jednak chwilę później pomyślała o reakcji ojca. Już widziała jego zadowolony uśmiešek, zaledwie zobaczy, że Isabel jedzie w samochodzie dla najbliższej rodziny. Paul byłby uszczęśliwiony, że jego plan wypalił. Nareszcie miałby ją z głowy.

Ross czekał na odpowiedź. Wyczuwając jej wahanie, powiedział spokojnie:

- Jeśli nie chcesz, wystarczy jedno twoje słowo. Krótkie „nie”, które sprawiłoby, że pojechałaby na cmentarz innym samochodem, ale wiedziała, że będzie mu ciężko i chciała przy nim być. A ojciec? Trudno, niech ma tę swoją satysfakcję i przekonanie, że wszystko idzie po jego myśli.

- Nawet nie wiesz, ile dla mnie znaczy, że mnie o to poprosiłeś. Oczywiście, że się zgadzam.

Uśmiechnął się.

- To dobrze.

Nie był to właściwy moment, aby powiedzieć Izzy, że przy fotelu matki znalazł kartkę, na której widniało pięć ledwie czytelnych słów: „Ross, idź za głosem serca”. Zamierzał posłuchać tej rady, ale nie teraz. Najpierw musi pożegnać ukochaną mamę.

Na pogrzeb, który odbył się w sobotę, przyszło prawie całe miasteczko. Po ceremonii część gości udała się do herbaciarni na poczęstunek. Sophie pięknie wyglądała w czerni. Uśmiechała się smutno i powtarzała, że nic się nie zmieni, że da sobie radę sama.

- Wiem, że Sally chciałaby, żeby wszystko zostało po staremu - mówiła. - Ona miała głowę na karku, a ja jestem bardzo silna, poradzę sobie.

Sophie zawsze mówiła, co myśli. Kilka dni po pogrzebie podeszła do Rossa i stwierdziła prosto z mostu:

- Widziałam kartkę, którą zostawiła ci twoja matka. Zamierzasz posłuchać jej rady?

Ross uśmiechnął się blado.

- Może. Pożyjemy, zobaczymy, ciociu Sophie.

Oczywiście, że zrobi tak, jak radziła mu matka.

Już dawno zdecydował, jak pokieruje swoim życiem, ale wciąż jeszcze nie otrząsnął się po jej śmierci. Wytrzymał siedem długich lat, wytrzyma jeszcze trochę. Chciał, żeby było idealnie: romantyczna sceneria, odpowiedni moment.

Odkąd się rozstali, Isabel nie mogła przestać myśleć o tym, jak czuła się, gdy jechali na cmentarz. W samochodzie panowała cisza, Ross siedział ze wzrokiem wbitym w przestrzeń, Sophie dyskretnie ocierała łzy.

Oczywiście ojciec z Millie też przyszli. Isabel wciąż miała przed oczami jego triumfalną minę, gdy zobaczył ją u boku Rossa, natomiast Millie starannie unikała jej spojrzenia. Przyjaciółka ojca z pewnością miała nadzieję, że jeszcze długo nie nadarzy się okazja do rozmowy. Cóż, jeśli obawiała się awantury, to

zupełnie niepotrzebnie, pomyślała cierpko Isabel. Nie zamierzała rozmawiać z ojcem. Dla niej liczył się tylko Ross.

Isabel była zbyt mała, kiedy zmarła jej matka, aby pamiętać jej pogrzeb, jednak wszyscy mówili, że pogrzeb wcale nie jest najgorszy. Znacznie trudniej jest zapełnić pustkę, jaka powstaje, kiedy odchodzi ktoś, kogo się kochało.

Gdy herbaciarnia w końcu opustoszała, Sophie - chyba po raz pierwszy w życiu - dała się zmóc zmęczeniu i poszła się położyć, pozostawiając sprzątanie młodym.

Aż trudno uwierzyć, że w tak krótkim czasie i powitaliśmy Rossa, i pożegnaliśmy Sally, pomyślała Isabel, krzątając się po pustej sali. A wszystko w tych czterech ścianach.

- Masz jakieś plany na jutro? - spytał nagle Ross, odstawiając na miejsce ostatni już wytarty do sucha garnek.

- Nic ciekawego. A czemu pytasz?

- Po prostu byłem ciekawy. To był ciężki tydzień, i dla mnie, i dla ciebie. Ja załatwiałem sprawy związane z pogrzebem, ty miałaś dwa razy tyle pracy, a przecież w domu też się nic samo nie robi.

- Chyba nie sądzisz, że mam ci to za złe?

- Nie, Izzy. Jestem pewny, że nie masz. Jesteś prawdziwym aniołem. Ale uważam, że jutro nam obojgu należy się trochę odpoczynku. Prześpij się, a po południu przejrzą papiery mojej matki.

- A ja najpewniej zajmę się domem - odparła smutnym tonem; było jej przykro, że przestaje mu

być potrzebna. - A teraz, jeśli pozwolisz, pożegnaj się i pójść. Muszę nakarmić zwierzęta.

- Jasne - odparł spokojnie. - Do zobaczenia w poniedziałek.

A coś ty myślała? - dumiała Isabel, wracając do domu na piechotę. Czegoś ty się spodziewała? Ze Ross rozproszy wszystkie twoje obawy i wątpliwości w dniu, w którym pochował matkę? Albo któregośkolwiek innego dnia?

Nieładnie to wyszło, pomyślał Ross, odprowadzając ją wzrokiem. Spytał, czy ma jakieś plany, a potem zmienił temat, ale przecież musiał się dowiedzieć, czy jutro będzie w domu. Wygląda na to, że tak.

Przez całą noc nawet nie zmrużyła oka. Rano była ledwie żywa, powieki same jej opadały i nie miała siły zwlec się z łóżka, więc leżała wpatrzona w drewniane belki na suficie. Zapowiadał się potwornie długi dzień i wołałaby, aby nigdy się nie zaczął. Jej życie to jeden wielki banal. Łudziła się, że Ross zobaczy ją taką, jaką sama chciała się widzieć, opanowaną, pewną siebie, atrakcyjną, lecz najwyraźniej się myliła. Z tych niewesołych rozważań wyrwało ją brzęczenie telefonu. Sięgnęła po słuchawkę z cichą nadzieją, że to Ross. Słuchała chwilę, a potem wyskoczyła z łóżka i zaczęła się ubierać. Już w dzinsach i w grubym swetrze zbiegła na dół i zaczęła przetrząsać zawartość szafki pod schodami.

Było wczesne popołudnie, gdy Ross zmierzał w stronę domu Isabel, uśmiechając się do swoich

myśli. Zamierzał nareszcie postąpić tak, jak radziła mu matka, i miał nadzieję, że ona go widzi i uśmiecha się do niego gdzieś z góry. Cały ranek spędził przy telefonie. Zarezerwował stolik w upatrzonej restauracji i długo namawiał córkę Sama Shuttlewortha, aby otworzyła kwaciarnię wcześniej niż zwykle i by ułożyła bukiet z najpiękniejszych kwiatów, jakie tylko ma.

Kiedy je odbierał, przyglądała mu się ciekawie. No i nic dziwnego. Zaledwie przed kilkoma dniami zamawiał wieniec na pogrzeb matki, a teraz prosi o wiązanek, która nadawałaby się na ślub.

W tygodniu, pomimo nawału zajęć, znalazł chwilę, aby wstąpić do jubilera. Pierścionek, który zamierzał wsunąć Izzy na palec, spoczywał spokojnie w małym wyścielonym welurem pudełku w jego kieszeni.

Może się trochę pośpieszył? - pomyślał, uderzając ciężką mosiężną kołatką o stare dębowe drzwi. Cóż, wkrótce się okaże, a jeśli się pomylił i Izzy nie przyjmie jego oświadczeń, będzie ją prosił o rękę dopóty, dopóki się nie zgodzi. Nie otwierała, więc zastukał jeszcze raz. Słyszał szczekanie Tess i był pewny, że Izzy zaraz się pojawi, jednak pukał i pukał, a ona wciąż nie otwierała.

Zawrócił zawiedziony. Przecież miała być w domu, pomyślał. Cóż, ma, czego chciał. Trzeba było się z nią umówić, zamiast próbować zrobić jej niespodziankę.

Usłyszał warkot silnika i obejrzał się w stronę drogi. Wzdłuż ogrodzenia jechał traktor. W kierowcy Ross rozpoznał farmera, którego krowę nie tak dawno usiłował przepędzić z ogródka Izzy.

- Widział pan dzisiaj doktor West? - zawołał.
- Ano, mignęła mi jakiś czas temu - odkrzyknął farmer.
- Widać bardzo się gdzieś śpieszyła, bo jak daję słowo, nie oszczędzała silnika.

- Rozumiem - mruknął Ross, zmuszony pogodzić się z faktem, iż będzie musiał przyjść kiedy indziej.

Następnym razem najpierw zadzwoni. Dzwonił nie raz, i nie dwa, lecz Izzy nie odbierała.

Późnym wieczorem spróbował jeszcze raz, i znowu na próżno, po czym wpadł do herbaciarni sprawdzić, jak Sophie sobie radzi. Najwyraźniej wzięła się w garść i jak każdej niedzieli wieczorem piekła ciasta na poniedziałek.

- Widziałaś dzisiaj Izzy? - spytał. Sophie pokręciła głową.

- Nie. A co?

- Podobno pojechała gdzieś wcześniej rano i dotąd nie wróciła.

- To duża dziewczynka - odparła ze śmiechem ciotka. - Nie musi ci się opowiadać z tego, co robi.

- Zrozumiałe - mruknął z roztargnieniem. - Niby nie mam powodów, ale się o nią niepokoję.

Białe od mąki dłonie ciotki znieruchomiały.

- Chyba wiem, gdzie możesz ją zastać. Czemu wcześniej o tym nie pomyślałam? Z samego rana Jess wstąpiła do mnie na filiżankę herbaty i mówiła, że w jaskiniach pod Castleton zdarzył się wypadek, a przecież ratownicy dzwonią czasem do Isabel.

- Która to jaskinia? - spytał zwięźle.

- Nie mówiła. A w okolicy są ich całe tuziny.

- Takie wypadki... są bardzo niebezpieczne? - dodał, czując, że ścisła go w dołku.

- Dla kogo? Dla grotolarów czy ratowników?
- I dla tych, i dla tych.
- Dla tych pierwszych bardzo, zwłaszcza jeśli to amatorzy, a dla ratowników *jeszcze* bardziej, ale wszystko zależy. Czy są ciężko ranni, czy jest niebezpieczeństwo zalania, wystąpienia zawaliska i tak dalej, i tak dalej.

Ross rzucił od drzwi:

- Jeśli Isabel się tu pojawi, to przekaż jej, żeby nie ruszała się nigdzie z domu, dopóki nie wrócę. Jadę do Castleton.

Mimo że wcale nie ma pewności, czy właśnie tam ranojechała, pomyślał, ruszając w kierunku najbardziej znanego skupiska jaskiń w tych stronach. Przez całą drogę nie mógł przestać myśleć o tym, że Izzy może być w niebezpieczeństwie. Chyba zwariowała, żeby narażać życie dla wariatów, którzy nie mają lepszych zajęć od pełzania po jaskiniach! A zresztą może pojechała zupełnie gdzie indziej. Może wybrała się do najbliższego miasta po zakupy. W sobotę otwartych jest mnóstwo sklepów.

Zanim dotarł na miejsce, wiedział, że trafił w dziesiątkę: przed wejściem do jaskini zrobiło się prawdziwe zbiegowisko. Była to jedna z mniej znanych jaskiń w okolicy, która dopiero teraz doczekała się swoich pięciu minut sławy. Na miejscu była policja, z boku stała karetka, wszędzie kłębili się chciwi sensacji dziennikarze. Rozejrzał się i natychmiast wypatrzył znajomego minicoopera. Jednak jego właścicielki nie było nigdzie widać.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Zaparkował przy samochodzie Izzy i podbiegł do policjanta, który kierował całą operacją.

- Co się tu dzieje? - spytał pośpiesznie.
- Mamy dwie osoby uwięzione - odparł policjant. -
Doszło do zawaliska. Mówiąc prościej, runął strop.

- Kto jest w środku?
- Nieprzytomny grotolaz i młoda lekarka.
- Chyba nie doktor Isabel West? - spytał Ross już nie z niepokojem, lecz ze zgrozą.

Policjant przyjrzał mu się uważniej.

- Owszem - przytaknął. - Zna ją pan?
- Tak, razem pracujemy.
- To pan też jest lekarzem? To dobrze. Może poprosimy pana o pomoc.

- Oczywiście, że pomogę - odparł Ross zdławionym głosem. - Jeśli nie ma chętnego, który by po nich poszedł, zgłaszam się na ochotnika. Nie jestem grotolazem, ale wiem, jak się obchodzić z rannymi.

Zaczął padać deszcz. Nie była to jednak mżawka, ale prawdziwe oberwanie chmury. Ktoś powiedział głośno:

- Jak tak dalej pójdzie, to jeszcze ich zaleje. Pod jaskinią, w której utknęli, płynie podziemny strumień.
- Kto zgłosił wypadek? - zwrócił się Ross do policjanta, czując narastającą panikę.

- Kolega tego nieprzytomnego. Zostawił go i poszedł po pomoc. Kiedy wydostał się na powierzchnię, był w hysterii, nie chciał słyszeć o powrocie pod ziemię. Musiał długo błądzić, zanim znalazł wyjście. Widocznie przy okazji coś naruszył - mówił policjant. - Pierwsza przyjechała ta lekarka. Powiedziała ratownikom, żeby donieśli nosze, i weszła do jaskini, jak gdyby nigdy nic.

- Znam tę jaskinię - odezwał się starszy mężczyzna, który chwilę wcześniej wspomniał o podziemnym strumieniu. - Korytarz jest długi i wąski, trzeba się czołgać. Ciężko będzie wyciągnąć rannego na noszach.

- Moment. Czyli ona weszła do środka i dopiero wtedy obsunęły się głązy i zatarasowały wejście?

- Ujmując w skrócie, tak - przyznał policjant. - I jak już mówiłem, chyba nie doszłoby do zawaliska, gdyby nie ten spanikowany grotolaz. Jak człowiek ma doświadczenie, to wie, że te wielkie wapienne bloki mogą być bardzo niebezpieczne, ale ci smarkacze nie mają o niczym pojęcia i pakują się w kłopoty, a potem inni muszą się narażać, żeby ich ratować.

- Co robicie, żeby ich stamtąd wydostać? - gorączkował się Ross.

- Czekamy na przyjazd ratowników profesjonalistów. Byli przy innym wypadku, i jeszcze są w drodze. Mówili, że dojazd może im zabrać dobrą godzinę, ale jeśli ten deszcz nie przestanie lać, to ta lekarka i ten ranny znajdują się w sytuacji nie do pozazdroszczenia.

- A co mogliby zrobić ratownicy, czego nie możemy zrobić sami? - zdenerwował się Ross.

- Znaleźć przejście przez zator skalny.
- Macie tu jakiś zapasowy sprzęt? - spytał Ross świadomy, że liczy się każda minuta.
- Czemu pan pyta? Przecież pana tam nie puścimy, nie ma pan doświadczenia.
- Są daleko od wejścia? - dopytywał się Ross.
- Według tego, co nas wezwał, są w drugiej jaskini połączonej korytarzem z tą, przy której wejściu stoimy. A i ta pierwsza do małych nie należy.
- Normalnie nie narażałbym się dla jakichś amatorów, ale ta lekarka to zupełnie inna sprawa - odezwał się starszy mężczyzna, który przysłuchiwał się ich rozmowie, a potem spojrzał na Rossa: - Sprzęt możesz pożyczyć w jednym z tamtych sklepików. Zabiorę cię na dół. Ale masz robić, co ci każe. Pasuje?
- Cokolwiek powiesz - obiecał Ross gorąco.

Popędził do najbliższego sklepiku i po chwili wrócił przed wejście do jaskini. Zanim wszedł do środka, spojrzał na zaciekawiony tłum i oznajmił:

- Zamierzam ożenić się z kobietą, która jest tam na dole, i nic mnie nie powstrzyma przed pójściem po nią. Módlcie się, żeby przestał padać ten cholerny deszcz i żeby ratownicy wreszcie tu dotarli.

To jakiś koszmar, pomyślała Isabel. Nie pierwszy raz uczestniczyła w akcji ratowniczej, nigdy jednak nie czuła się pozostawiona samej sobie, z nieprzytomnym człowiekiem pod opieką. Koledzy z grupy ratowniczej zawsze byli w pobliżu i miała głęboką nadzieję, że i tym razem są gdzieś niedaleko.

Gdy wapienne płyty tworzące sklepienie jaskini

zaczęły walić się z przeraźliwym hukiem, zasłoniła rannego własnym ciałem i czekała. Przeżyli i teraz zastanawiała się gorączkowo, co ma dalej zrobić. Jakby tego było mało, strumień, który płynął przez środek groty, przybierał z każdą chwilą. Znowu leje, pomyślała.

Młody mężczyzna odzyskał przytomność i pojękiwał głucho, ale wiedziała, że sama nie zdoła go ruszyć. Musi czekać na pomoc. Kiedy pojawią się jej koledzy, spróbują utorować sobie drogę przez stertę głazów, która blokowała przejście do pierwszej jaskini. Oczywiście nie ma gwarancji, że nie dojdzie do kolejnego zawaliska. Każdy doświadczony grotolaz wie, że byle co - ruch, hałas - może spowodować osunięcie się skalnych bloków.

Grotolaz trochę oprzytomniał. Natychmiast zauważył, że poziom wody w strumieniu stale się podnosi, i powtarzał płacząco:

- Potopimy się. Potopimy się.

Wciąż krwawiła głęboka, ziejąca rana na jego skroni. Opatrunek, który Isabel mu założyła, momentalnie przesiąkł krwią. Wprawdzie nie zdążyła mężczyzny zbadać, lecz podejrzewała, że rana głowy nie jest jedynym obrażeniem, jakie odniósł. Zdawała sobie sprawę, że rannego z urazem głowy nie powinno się ruszać, ale nie widziała wyjścia.

- Za nami jest półka skalana - odezwała się, nie odrywając wzroku od przybierającego strumienia. - Musimy się jakoś na nią wdrapać. Sama cię nie podniosę, więc będziesz musiał mi pomóc. Musisz stanąć na nogi, a potem cię podsadzę. Dasz radę ustać?

- Będę musiał, no nie? - napłakał. - Ale coś mi się stało w kostkę. Chyba jest złamana.

- Możliwe - odparła. - Ale nie będziemy teraz zdejmowali buta. Spróbuj przenieść ciężar ciała na drugą nogę, a ja cię jakoś podtrzymam.

Była opanowała i w miarę spokojna, choć w głowie wciąż kołatała jej straszna myśl, że jeśli koledzy się nie pośpieszą i zaraz ich stąd nie wyciągną, może już nigdy nie zobaczyć Rossa. I ona, i nieostrożny grotolaz na zawsze znikną w szybko przybierającej czarnej wodzie, która niebawem wypełni grotę.

Cudem wdrapali się na półkę. Umęczyła się Isabel, umęczył się grotolaz, który pojękiwał boleśnie, ilekroć oparł się na chorej nodze, ale najważniejsze, że w końcu im się udało.

Pomyśleć tylko, że Ross siedzi teraz w ciepłym, wygodnym mieszkanku nad gabinetem i przegląda dokumenty. Jest przekonany, że ona krząta się po domu i cieszy się, że wreszcie ma chwilę spokoju. Nawet w głowie mu nie postoi, że jeśli szybko nie nadejdzie pomoc, i ona, i pewny nieroztropny młodzieniec najzwyczajniej się utopia.

Podążając za milczącym przewodnikiem, Ross myślał tylko o tym, iż tę samą drogę pokonała przed nimi Izzy. Co za kobieta... Tylko czemu, na miły Bóg, musi włóczyć się po jaskiniach akurat wtedy, kiedy on chce się jej oświadczyć?

- Daleko jeszcze? - zawołał.

Wąski korytarz budził w nim poczucie klaustrofobii.

- Ciii... - odszepnął grotolaz. - Chcesz, żeby ska

ły ci się zwały na łeb? Jesteśmy prawie na miejscu. Widzę przed sobą zwały gruzu, jakieś półtora, może dwa metry od końca tunelu.

Dno tunelu było suche, jednak zza sterty kamieni dobiegał szum wody. Ross miał wrażenie, że dźwięk narasta.

- Całe szczęście, że strumień w tym miejscu skręca, bo jak nic zalałoby cały tunel.

Ross z rozpaczą wpatrywał się w stos głazów.

- Tam są? Za tymi kamieniami?

- O ile ich nie zmiotło. Ale woda tak ryczy, że i tak nas nie usłyszą.

Ross skinął głową. Dlaczego czekał? Czemu jej nie powiedział, że ją kocha?

- Musimy przejść górą - mówił grotolaz. - Nie będzie to łatwe i na pewno nie pójdzie szybko.

- Nie spróbujemy jakoś odsunąć tych kamieni?

- Zbyt ryzykowne. Całe sklepienie mogłoby się zawalić, i na nas, i na nich.

Brnęli ostrożnie przez gruzowisko. Sklepienie grotty zdawało się zbliżać z każdym krokiem i coraz trudniej było iść. Potem się czołgali. Patrząc na piętrzącą się coraz wyżej stertę kamieni, Ross zaczął wątpić, czy zdołają przedostać się na drugą stronę, jednak grotolaz cudem znalazł przejście, wąską szczelinę między głazami.

Jeszcze kilka sekund wysiłku i zobaczyli dwie rzeczy: szeroki pas czarnej wody i plamkę światła - była to lampka przy kasku Izzy.

Izzy spojrzała na Rossa, zdumiona i uszczęśliwiona.

- Hej, hej! - powiedział, momentalnie odzyskując spokój.

Najważniejsze, że Izzy żyje. Teraz nawet jeśli coś im się stanie, to przynajmniej będą razem. Najchętniej porwałby ją w ramiona, ale najpierw muszą się stąd wydostać. Przeniósł wzrok na rannego mężczyznę i spytał:

- Co z twoim nowym kolegą, Izzy?

- James upadł tak nieszczęśliwie, że uderzył głową o kamienie. Kiedy przyszedłem, wciąż był nieprzytomny, ale oddychał samodzielnie. Gdy opatrywałem mu głowę, zawaliło się sklepienie. Sama może jakoś bym się stąd wydostała, ale nie dałabym rady go wynieść, więc zostałam i razem czekaliśmy, aż ktoś po nas przyjdzie. - Wydawała się całkiem spokojna, jednak nagle głos jej się załamał: - Nawet mi się nie śniło, że to będziesz ty.

Ross milczał. Chciał jej powiedzieć tysiące rzeczy, ale wiedział, że to nie moment na takie wyznania. Zmierzył rannemu tętno i zaświecił w oczy latarką, aby sprawdzić odruch źreniczny.

- Wciąż przybiera? - spytał mężczyzna, który doprowadził go do Izzy, gdy Ross po raz setny spojrzął w kierunku podziemnego strumienia.

- Nie - odezwała się Isabel. - Mam wrażenie, że od jakiegoś kwadransa poziom wody opada, ale ciemno tu jak w grobie, więc mogę się mylić.

- No to rozkręcajmy tę prywatkę - oznajmił mężczyzna, spoglądając na Rossa. - Ta półka skalna ma jakiś metr szerokości. Musimy przełożyć tego gościa na nosze, a przy okazji sami nie powpadać do wody. My z doktor West weźmiemy nosze, ja pójdę pierwszy, a ty może wczółgaj się pod nie, tak dla asekuracji.

- Wolałbym, żeby doktor West szła z przodu, a nuż znowu coś się zawali.

- No dobra - mruknął grotolaz - ale zabierajmy się stąd jak najszybciej. Aha, i staraj się opierać ciężar ciała na przedramionach, a nie na samych dłoniach. Mniej się pokaleczysz.

W porównaniu z mozolną drogą powrotną podróż w głąb jaskini wydawała się nagle dziecinnie łatwa. W końcu jednak przedarli się przez zwalisko i znaleźli się w korytarzu prowadzącym do pierwszej jaskini. Z każdym krokiem coraz mniej dzieliło ich od wydostania się na otwartą przestrzeń.

Gdy stanęli w wejściu, tłum zaczął wiwatować. Ktoś krzyknął:

- No to kiedy wesele, panie doktorze? Ross uśmiechnął się, cały umazany błotem.

- Oby jak najszybciej! - odkrzyknął.

Zaczęły się śmiechy i gratulacje, w oczach Izzy błysnęły łzy. Zanim Ross zdążył cokolwiek wyjaśnić, podbiegli do nich policjanci, dziennikarze i ratownicy, którzy przyjechali dosłownie przed chwilą, bo ich land-rover utknął na wrzosowiskach.

Kiedy ranny grotolaz odjechał do szpitala i zrobiło się nieco spokojniej, Ross zaczął szukać człowieka, który doprowadził go do Izzy, ale ten jakby się pod ziemię zapadł. Ross dopytywał się o niego, ale wszyscy tylko kręcili przecząco głowami.

- Przecież z nami był, kiedy wychodziliśmy z jaskini - powtarzał z uporem. - Doświadczony grotolaz. Gdyby nie on, nie dotarłbym do doktor West.

Jednak nikt go sobie nie przypominał. W końcu

Ross poszedł do policjanta, który był przy jego rozmowie z grotołazem.

- Pan go widział! Tego faceta, który sprowadził mnie na dół!

- Tak. A bo co? - odparł policjant.

- Chcę mu podziękować. To wszystko jego zasługa.

- Fakt, robił wrażenie kogoś, kto zna się na rzeczy. Był tu przed chwilą, ale już sobie poszedł. Dam panu znać, jeśli znowu go zobaczę. Może nie lubi tłumów? A tu aż się roi od dziennikarzy i fotografów i wszyscy go szukają. Wie pan, bohater dnia i takie tam.

To prawda, pomyślał Ross, ten człowiek jest bohaterem. Jednak dla niego najważniejsza była Isabel, która nagle pojawiła się przy nim, jego Izzy, zmęczona, ubłocona, ale wciąż najpiękniejsza na świecie. Jego bohaterka.

- Co się stało? - spytała.

- Chciałem podziękować człowiekowi, który nam pomógł, ale zniknął. I nikt go nie pamięta. Gdyby nie tamten policjant, podejrzewałbym, że go sobie wymyśliłem. Ale ty też go widziałaś?

- Naturalnie! Chyba sam Bóg nam go zesłał - odparła szczerze. - Na pewno go tu nie ma? Cóż, może nie lubi zamieszania i po prostu poszedł do domu.

Jeden z ratowników przysłuchiwał się tej rozmowie. Nagle uśmiechnął się i powiedział:

- Coś mi się zdaje, że poznaliście Jacka Benedic-ta. Jak ten facet wyglądał?

- Szczupły, wysoki, około sześćdziesiątki, miał szare oczy i brodę - odparł Ross. - Nie wiem, jaki

miał kolor włosów, bo był w kasku. Aha, na twarzy miał bliznę.

- To on - stwierdził mężczyzna. - Ta blizna to pamiątka po wypadku sprzed lat. Był ratownikiem jaskiniowym, bodaj najlepszym w okolicy. Parę lat temu przeszedł na emeryturę, ale wciąż chodzi po jaskiniach. Są jego życiem i zna je jak własną kieszeń. Zawsze był odludkiem i zawsze bardzo nie lubił prasy.

- Gdzie go znajdziemy? - spytała Isabel.

- Nie wiem. Ma dom gdzieś na wzgórzach, ale na waszym miejscu bym tam nie jechał. Nie przepada za towarzystwem.

Gdy popatrzyli na niego pytająco, uśmiechnął się i dodał:

- Jeśli naprawdę chcecie mu okazać wdzięczność, zostawcie go w spokoju.

- Odwiozę cię do domu - oznajmił Ross. - A jutro wrócimy po twój samochód.

Gdy usiadła obok niego, okrył ją ciepłym kocem.

- Mam do ciebie kilka pytań - powiedziała, uparcie patrząc przed siebie.

- Słucham.

- Po pierwsze, jak znalazłeś się w jaskini?

- Przez pół dnia próbowałem się z tobą skontaktować - wyjaśnił. - Byłem pod twoim domem, a potem godzinami do ciebie wydzwaniałem. Wczesnym wieczorem Sophie opowiedziała mi, co się dzieje w Castleton, i pomyślałem, że może cię tu znaleźć. Modliłem się, żebyś była gdzie indziej, ale cóż. Oczywiście byłeś w tej jaskini.

- Czemu chciałeś się ze mną zobaczyć?
 - Chciałem ci coś powiedzieć - wyznał miękko.
 - Co?
 - Nie teraz, Izzy. Jesteś wyziębiona i zmęczona. Musisz się wykąpać i coś zjeść. Odwiozę cię do domu.
 - Nie jestem głodna.
 - Po takim dniu?
 - Po wyjściu z jaskini usłyszałam coś, co odebrało mi apetyt.
 - Co?
 - Ktoś cię spytał, kiedy wesele, a ty powiedziałaś, że niedługo. Żenisz się?
 - Może. To jeszcze nic pewnego.
- Patrzył, jak wielka łza spływa po jej policzku.
- Zdziwiasz mnie, Izzy - powiedział, zatrzymując się na poboczu. - Nie zastanawiałaś się, czy wejść do tej jaskini. Zrobiłaś to i nawet powieka ci nie zadrżała, a teraz płaczesz? Przecież to z tobą chcę się ożenić! Przyjechałem do ciebie, żeby ci się oświadczyć, ale oczywiście nie było cię w domu, ty szalona, nieprzewidywalna kobieto!
- Uśmiechnął się do niej.
- Stolik, który zarezerwowałem, stał pusty, kwiaty, które zamówiłem u córki Sama Shuttlewortha, jutro nie będą już wyglądały tak świeżo, tylko jedno nie ucierpiało. - Wyjął z kieszeni welurowe puzderko, które nosił przy sobie od rana. - Wyjdiesz za mnie, Izzy? - spytał i uchylił wieczko, odsłaniając pierścionek z brylantem, który mienił się kolorami tęczy. - Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo cię kocham, dopóki nie wróciłem do miasteczka i nie

przekonałem się, że zapłakana nastolatka, którą opuściłem, wyrosła na cudowną młodą kobietę, z którą mam ochotę się kochać, zawsze kiedy ją widzę.

- Naprawdę? - wyszeptwała. - Na pewno mówisz o mnie?

- Na pewno. I gdyby ten samochód był odrobinę większy, zaraz bym ci to udowodnił. Ale nie odpowiedziałas na moje pytanie.

- Kocham cię od zawsze - wyszeptwała - ale nawet nie marzyłam, że i ty mnie kiedyś pokochasz.

- Ty niemądra dziewczyno! - zaśmiał się. - Odpowiesz mi wreszcie?

- Oczywiście, że za ciebie wyjdę, Ross - odparła zdławionym głosem. - Choćby i jutro. Ale skąd ci ludzie wiedzieli, że...?

- Zanim po ciebie zszedłem, powiedziałem, że się z tobą ożenię.

- Dziwny zbieg okoliczności, nie uważasz? - spytała rozmarzona, gdy wsunął jej pierścionek na palec. - Taki doświadczony grotolaz pojawia się akurat wtedy, kiedy jest najbardziej potrzebny, a potem znika, jak gdyby rozpułnął się w powietrzu.

Nagle wyprostowała się w fotelu i przygryzła usta.

- Co się stało? - zaniepokoił się Ross.

- Mój ojciec! Jak usłyszysz o naszym ślubie, pomyśli, że to wszystko jego zasługa i że może w dalszym ciągu wtrącać się do mojego życia.

- No to pojedziemy do niego i wyprowadzimy go z błędu - stwierdził spokojnie Ross.

- Zgoda - odparła uśmiechnięta.

Świtało, gdy dotarli do domku nad rzeką. Wzięli

prysznic, całując się, śmiejąc i przytulając, po czym usiedli przy kuchennym stole do pierwszego wspólnego śniadania.

- Czy mamy prawo czuć się tacy szczęśliwi?
- spytała cicho Isabel. - Tak krótko po śmierci twojej mamy?

Ross uśmiechnął się do niej.

- O tak. - Wyjął z kieszeni pomietą kartkę. - Ona to napisała. Sądzę, że moja matka zawsze wiedziała, co do ciebie czuję, zanim jeszcze sam zdałem sobie z tego sprawę. To jej słowa, Izzy.

Przez chwilę patrzył na nią tylko, potem dodał cicho:

- Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałbym się teraz z tobą kochać, Izzy. Ale poczekajmy z tym, wyznaczmy datę ślubu i jeźdźmy do twojego ojca. Najwyżej go obudzimy, ale podejrzewam, że i tak już nie śpi.

Paul od dłuższego czasu był na nogach. Ostatnio nie sypiał najlepiej. Sam nie wiedział, czy bezsenność jest efektem starości, czy wyrzutów sumienia.

- Ale z was ranne ptaszki - stwierdził z cierpkim uśmiechem, wpuszczając ich do mieszkania. - Czemu zawdzięczam zaszczyt, jakim jest wizyta mojej córki?

- Przyszliśmy ci powiedzieć, że się pobieramy
- odparła Isabel.

- Ach.

- Tylko nie myśl, że należą ci się od nas podziękowania. Nie ma w tym twojej zasługi. Zawsze kochałam Rossa i zawsze chciałam z nim być.

- Wiem - odparł ojciec spokojnie. - Przyznaję,

popeliłem błąd, rozdzielając cię z nim. Gdybym się nie wtrącał, pewnie i tak poszłabyś na medycynę, za to byłabyś znacznie szczęśliwsza. Dlatego skontaktowałem się z Rossem i zaproponowałem, żeby przejął gabinet. Mam do niego zaufanie i nigdy nie pracowałem z lepszym lekarzem, ale nie to było powodem mojej decyzji. Miałem nadzieję, że miłość między wami mimo wszystko przetrwała. Teraz, kiedy przyjdzie na mnie czas, umrę z czystym sumieniem.

Isabel oniemiała. Ojciec i wyrzuty sumienia? Niemalże przeprosiny?

- A może zamiast o umieraniu, pomyśl o tym, żeby zacząć inaczej żyć - odezwał się Ross. - Izzy zbyt długo nie miała ojca.

Paul uśmiechnął się cierpko.

- Chyba trochę na to za późno. Starego psa nie nauczysz nowych sztuczek, ale spróbuję. Może dziadkiem będę lepszym niż ojcem.

Był piękny księżycowy wieczór. Gdy jedli kolację w restauracji na wrzosowiskach, Ross zauważył ze śmiechem:

- Trzy razy próbowałem cię tu zaciągnąć i dopiero za trzecim razem mi się udało.

- Bardzo ładna restauracja - odparła Isabel. - Ale dlaczego tak bardzo ci zależało, żeby przywieźć mnie akurat tutaj?

- Wszystko w swoim czasie - odrzekł tajemniczo. Gdy wyszli na dwór, nieoczekiwanie porwał ją na ręce i ruszył przed siebie. Zatrzymał się przy obłym czarnym kamieniu.

- Kamień Kochanków! - zawołała Izzy. - Podobno

zakochani, którzy go dotkną i pocałują się, już zawsze będą razem.

- No, to już wiesz wszystko - powiedział, opierając dłonie na kamieniu tuż obok rąk Izzy. Zanim ją pocałował, szepnął jeszcze: - Nie ma takiej siły, która mogłaby nas rozdzielić, ale człowiek potrzebuje odrobiny magii.

Herbaciarnię znowu czekał najazd gości. Na wesele dwojga młodych lekarzy wybierało się całe miasteczko.

Isabel West, którą wszyscy dobrze znali, oraz Ross Templeton, który po latach wrócił do domu, mieli złożyć ślubną przysięgę w urokliwym małym kościółku, dosłownie pękającym teraz w szwach. Oboje promienieli szczęściem. Ona miała poślubić miłość swojego życia, on zaś miłość odnalazł, bo poszedł za głosem serca. Obok panny młodej stał jej ojciec, a obok pana młodego stał jego drużba Brian Derwent, i uśmiechał się tak, jak nie uśmiechał się od lat.